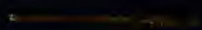


J. ŻUŁAWSKI



POEZJE



JERZEGO ŻUŁAWSKIEGO

POEZJE

Na strunach duszy, Kraków 1895 }
Intermezzo, Kraków 1897 } wyczerpane.
Stance o pieśni, Kraków 1897 }
Poezje, ser. I., wyd. II., Kraków 1901
Poezje, ser. II., Warszawa 1900
Z domu niewoli, Kraków 1902
Pokłosie, Kraków 1904
Xięgi żydowskie, Lwów 1905
Poezje, wyd. zbior. w 4 tomach, Lwów 1908

PROZA

Opowiadania prozą, Warszawa 1902
Na srebrnym globie, wyd. II., Lwów 1909
Zwycięzca, powieść — w druku
Prolegomena, Lwów 1902
Benedykt Spinoza, Warszawa 1902

DRAMAT

Dyktator, wyd. II., Lwów 1907
Eros i Psyche, wyd. IV. — w druku
Wianek mirtowy, Lwów 1905
Ijola, wyd. II, Lwów 1906
Gra, Lwów 1905
Donna Aluica (La bestia), Lwów 1906
Terakoja (przekład), Lwów 1907.

POEZYJ W NOWYM UKŁADZIE

TOM V.

UKAŻE SIĘ W 1909 ROKU

POEZJE

IV.

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

JERZY ŻUŁAWSKI

POEZJE

TOM IV



WYDANO W ROKU MCMVIII, NAKŁAD KSIĘGARNI
H. ALTENBERGA WE LWOWIE — W WARSZAWIE
E. WENDE I SPÓŁKA (T. HIŻ i A. TURKUŁ)


TVvM FAC
NEC
RESPICIAS
FINEM

ANIOŁ NA GROBACH.

1896.

Przez cmentarz cichy szedł Anioł, a smutny był bardzo smutkiem tych, co patrzą na śmierć. A noc była na świecie i wiosna i wonie bzów kwitnących na cmentarzu.

I oto rozpłakały się groby — i znać było, że duchy w nich nie spoczywają, ale śnią.

A Anioł rzekł: »Śpijcie! oto dobrze wam jest w grobach, cicho i spokojnie — czemu się skarżycie? Zali życie nie miało dla was cierni i smutku — i zali to już nie przeszło? Oto żyjący wzdychają, mówiąc: Chcielibyśmy zasnąć. Śpijcie zatem i nie wspominajcie, nie żałujcie tego, co było!«

A głosy zasię w grobach odrzekły, płacząc: »Oto wiosna jest i spać nie możemy!«

I jeden rzekł do Anioła: »Zapach kwiatów przyszedł do mnie i obudził mię, przypomniawszy tę, którą kochałem.

»Dozwól mi, a wstanę i poszukam jej.

»I krzaku jaśminowego, pod którym byłem szczęśliwy.

»I oczu jej i ust, które całowałem.

»Umierając myślałem: Zobaczę ją. A oto jestem w grobie samotny i źle mi bardzo. Dozwól mi, a wstanę«.

Lecz Anioł rzekł, odpowiadając: »Ta, którą kochałeś, nie żyje już.

»I krzak jaśminu, pod którym byłeś szczęśliwy, usechł.

»Widziałem jego ostatni kwiat, opadnięty był i wiądł.

»Śpij zatem!« — Gdy to mówił, stąpił na grób, a głos w nim westchnąwszy, ucichł.

Lecz oto rozpłakał się drugi grób, mówiąc: »Drzewa szumią, słychać szmer potoków; spać nie mogę!

»Żyjąc, zacząłem pieśń — i umarłem, nie dokończywszy jej.

»I słyszę w szumie drzew, jakoby zwrotkę zaczętą a niedokończoną i zmieszaną. Dozwól, że wstanę, a dośpiewam jej.

»Poślę ją między ludzi — i będzie ją śpiewała matka przy kolebce dziecięcia, które usypia.

»I dziewczę, gdy ukochany będzie przy niej...«

Anioł rzekł: »Dźwięk już przebrzmiał i ludzie go zapomnieli. Drzewa jeno pamiętają, bo niedo-

kończony był — i szumią ci nad grobem, abyś spał«.

Mówiąc, stąpił na grób, jako poprzednio, a głos westchnąwszy, ucichł.

Lecz oto trzeci grób rozpłakał się i mówił: »Księżyc świeci, a ja spać nie mogę!

»Widziałem światło takie za życia i goniłem je, bo było piękne.

»Ludzie różnie je nazywali, lecz ja je kochałem, nie pytając o miano.

»Gdy byłem dzieckiem i miałem matkę, mówiła mi, że po śmierci będę je oglądał — i wierzyłem jej.

»A oto jestem w grobie — i jest mi ciemno. Dozwól mi, że wstanę«.

Tak mówił grób, lecz Anioł milczał i nie odpowiadał mu.

Więc głos odezwał się znowu i pytał:

»Powiedz, zali to światło już zgasło? — a będę spał...«

Lecz i tym razem Anioł nie odpowiedział, ani stąpił na grób, ani go uciszył. Żal mu było ducha, który był już w grobie, a nie miał mocy wskrzesić go.

WIOSENNE KWIATY.

1892—1899.

W MAJU.

Szumią gaje dokoła,
szemrze strumyk w dolinie,
pachną kwiaty i zioła
a piosenka mi płynie
  na majowy świat!

Zaszło słonko za góry
a miesiączek żegluje
poprzez nieba lazury
i promieniem całuje
  wonny bzowy kwiat.

Z chatek wyszli wieśniacy,
kędy ścieżka się wije —
aby razem po pracy
chwalić świętą Maryję,
  zgodny nucąc śpiew.

W wieńce strojny pachnące,
w białe skryty osłony,

nad ścieżyną, na łące
stoi obraz święcony
pośród starych drzew.

Wkoło dziewcząt gromadki,
a parobcy za niemi —
u stóp świętej swej Matki
modlitwami wspólnemi
wyśpiewują wraz — —

Wietrzyk niesie te śpiewy
ponad rzeczkę, nad siną;
przez ugory, zasiewy —
hen! — daleko gdzieś płyną
na zielony las!

Milkną śpiewy wieśniacze,
i znów cicho wśród wioski,
tylko wietrzyk gdzieś płacze,
potrącając gałązki,
chwiejąc listki drzew.

Wtem nad rzeczką w łozinie,
wodzie wtórząc szemrzącej,
rozkochany w kalinie
słowik zawiódł swój drżący
o miłości śpiew...

Wyszło dziewczę od matki,
by śpiew słyszeć słowiczy;
rwało polne bławatki
na wianuszek dziewiczy,
na dziewiczą skroń.

Z ptaszęcemi wnet dźwięki
głos złączyło nieśmiały:
słowa tęsknej piosenki
dzwoniąc w światy leciały
na daleką błoń.

Razem z piosnką marzenia
popłynęły dziewczęce;
pełną w szczęścia rojenia
główkę wsparła na ręce,
złoty śniła sen!

Szumią gaje dokoła,
dźwięczy ptaszę w łozinie,
pachną kwiaty i zioła,
a dziewczęcia śpiew płynie
gdzieś za góry — hen! —

W JESIENI.

Góry mgłą się okryły,
zmokły strzechy wieśniacze,
drzewa listki zwiesiły,
blade niebo dziś płacze,
  sieje deszczem łez.

Płacze niebo jesienne
łzą cichutką i rzewną:
gdzieżeś słońce promienne,
gdzieś wiosenko królewno,
  gdzie są róże, bez?

Ach! przekwitły już kwiaty,
smutna jesień nadchodzi,
uciekł bocian skrzydlaty
tam, gdzie wicher nie chłodzi,
  śnieżnych niema burz.

Dziś już ptaszek nie śpiewa,
motyl w słońcu nie błyska,

zżółkły trawy i drzewa,
puste ciągną się rżyska
  stokiem smutnych wzgórz!

A przed chatą na płocie,
na niziutkim, na czarnym,
siadły zmokłych wron krocie;
w kręgu ciasnym i gwarnym
  ciągły słychać skrzek.

Oj te czarne, te wrony!
piją wodę deszczową;
patrząc na świat schmurzony
pokrakują swą mową:
  »Wkrótce spadnie śnieg!«

A w tej chatce pod lasem
stary leśnik się grzeje
przy kominku a czasem
pojrzy oknem na knieje,
  na jesienny świat — —

Tam na górach wśród lasów
mgły się ciągną skłębione
nakształt zasłon i pasów,
strojąc jodły zielone
zwojem białych szat.

Tam kudłacze niedźwiedzie
wiece jakieś dziś mają;
radzą sobie o biedzie,
o zimowym śnie bają
w ciemnej jamie gdzieś.

Warzą piwo jęczmienne,
warzą, mruczą i piją;
głowy ciążą im senne,
dymy gęste się wiją,
z mgłami schodzą w wieś...

Stary leśnik wciąż duma:
ciężko, ciężko na świecie!
oj ta starość, zła kuma,
siadła na kark i gniecie,
przeszły szczęścia dni...

Wiatr zaszumiał przez puszcze,
niedźwiedź piwo w nich warzy,
mgła się wije, deszcz pluszcze;
leśnikowi po twarzy
płyną gorzkie łzy.

MARZENIE.

Gdy letnią nocą gwiazdy zasieją
niebios szafiry, gwary się zciszą
ludzkiego życia, góry zciemnieją
a łany wonią ziół polnych dyszą,
ja się wymykam pod niebo owe
słowików smętnym śpiewem się poić,
na twardej skale złożywszy głowę
marzyć w noc cichą, sny szczęścia roić. —

A znam rozkoszne leśne ustronie;
skały je wokół bronią omszałe,
a czoła mają w świerków koronie
i barki burzą wieków zczerniałe.
Strumyk im stopy kamienne myje,
spieniony huczy, sieje perłami,
gniewny przebiega wąwozu szyję,
w dolinę skacze wodospadami.

Ponad spienioną siadam kaskadą

w słowików nocną wsłuchan rozmowę,
a róże polne u stóp mi kładą
w ciernie wplątane kwiaty różowe.
Śpiewem się poję, oddycham wonią,
piersiami lasów zachwytam tchnienia;
myśli bezładne za światy gonią,
płyną pod ciemne niebios sklepienia.

Pijany jestem rozkoszną nocą,
samotny — życia nie chcę innego,
niech tylko zawsze gwiazdy migocą,
niech strumyk szumi, niech pachną róże,
niechaj słowiki do snu mi pieją,
a nie chcę gwaru życia dziennego:
tu skryję serce, uciszę burze,
tu niech się piosnki szczęśliwe sieją!

Pary nad wodą wznoszą się białe,
po róży krzewach pną się do góry,
mgławym obłokiem otoczą skałę,
paprocie stroją wilgłemi pióry.
Księżyca promień dopadł je blady,
twarze im rzeźbi, tka srebrne szaty;
z wodnych oparów wstają najady
powiewne, białe jak lilij kwiaty.

Wianki na czoła z róż polnych wiją,
włosy promieniem wiążą księżyca
i twarze w światła potoku myją,
że od gwiazd jaśniej świecą im lica.
Białem ramieniem dotknęły drżące
strumyka wody — i wskrzesły dźwięki,
jak lutni struny pieją płaczące,
zaklęte mistrza dotknięciem ręki.

»Chłopcze! — śpiewają, — wyrzecz się świata!
tam piosnka twoja echa nie zbudzi;
daremnie głos ci z duszy ulata —
nie znajdzie nigdy ucha u ludzi!
Serce ci młode zamrożą w łonie,
wyszydzą czucie, pogardzą łzami,
z cierni ci wianek wtłoczą na skronie, —
pójdź do nas, chłopcze, — zostań tu z nami!«

Postać się jasna wysuwa z grona
i płynie ku mnie na rąbku tęczy,
wonne jej lilje kwitną u łona
i gwiazda czoło promienne wieńczy.
Przebóg! czy marzę? Jej lica znane,
nieobcy uśmiech i czarne oczy;
dłonie wyciąga, dłonie kochane —
a śpiew się z piersi dziewiczej toczy:

»O, chłopcze młody! zostań tu z nami
w strumyka fali przy moim boku!
Uwieńczę skronie twoje perłami
i wieczną miłość rozpalę w oku!
Pierś ci dziewiczą do snu pościelę,
kołysać będę pocałunkami,
a ty w słowicze wsłuchany trele,
miłość z ust moich weźmiesz ustami«.

»O, zostań! Piersi natchnę ci pieśnią
i lutni twojej dam boskiej siły,
że co rozkoszne sny twoje prześnią,
posłuszne struny będą dzwoniły.
Pomieścisz w pieśni duszy uczucia,
wylejesz serce dźwięków słowami
i szczęścia schwycisz promienne snucia;
o, zostań ze mną! zostań tu z nami!«

Wyciąga ręce, wabi uśmiechem,
słowa miłości szepta gorące,
a słowa dźwięczą w piersi mej echem,
ciągną w strumyka fale szemrzące.
Zrywam się tedy i depcę róże,
spieszę w otwarte drogie ramiona
i już — już stopy w wodzie zanurzę —,
przygarnę dziewczę cudne do łona...

Biegnę — i padam! Czoło zranione
o skały krawędź krwią się zalewa,
fala mi chłodzi piersi spalone:
miasto rusałki pień ściskam drzewa!...
Śmiechy gdzieś w lesie słychać złowieszcze;
mgły wiszą ranne nad wód pieleszą
i księżyc po nich czepia się jeszcze—:
już się marzenia nocy nie wskrzeszą!

PORÓWNANIE.

Gdybym do światła przyrównać chciał ciebie,
to nie do słońca! Zbyt jasne, jaskrawe;
kiedy ogniste przebiega po niebie,
gwiazdy się kryją, — kiedy wstaje rano,
wschodzi zbroczone; — blaski sieje krwawe,
gdy do snu kładnie źrenicę zaspaną. —
Nie do księżyca! On codzień odmienny;
raz błyszczy w górze jasnością promienny,
raz tylko sierpem stroi niebu lica
i martwo światu przed zgonem przyświeca,
nim zgaśnie nowiem. Ja ciebie, kochana,
z gwiazdą zrównałbym błyszczącą wśród nocy:
piękna — jaśniejszym niezazdrości mocy,
niezmienna nigdy, choć gaśnie co rana
zgłuszona blaskiem słońca, niebios pana.
Gdy jednak nocy ciemna spadnie szata,
gwiazda promienne warkocze rozplata,
modląc się Bogu promieńmi srebrnemi,
w gronie gwiazd siostrzyc cichej świeci ziemi,
jak anioł czysta stróżuje snom świata...

Z KWIATAMI.

Kiedy w polu śnieżno-białem
zakwitnęły już pierwiosnki,
czyste gdyby łzy,
ja wraz z niemi tobie słałem
mej miłości pierwsze piosnki,
pierwsze serca sny!

Na majowej rwane łące
jam fijołki wonne tobie
razem z piosnką słał;
jaśmin, róże, bzy pachnące
jam z pieśniami ku ozdobie
twoich skroni rwał.

Dziś jesienią zwiędły kwiaty
i przybladło słońce w niebie
i obumarł świat, —
lecz posłaniec mój skrzydlaty,

piosnka moja wciąż dla ciebie
świeży wskrzesza kwiat.

A gdy wiosną rozbudzone
kwiaty znowu błoń umają
w różnobarwny wzór,
piosnki moje zimą śnione
to rodzeństwo powitają,
nucąc tobie w chór.

PIERWEJ GWIAZDY...

Pierwej gwiazdy zgasną w niebie,
nim zapomnę, dziewko, ciebie;
pierwej gwiazdy w górze zginą,
nim zapomnę cię, dziewczyno,
dziewczyno złota!

Pierwej woda rzek przepłynie,
niźli miłość moja zginie, —
pierwej wyschnie woda zdroja,
nim przeminie miłość moja
i ta tęsknota...

Lecz wpierw słońce wstanie nowe,
nim utulę twoją głowę;
pierwej drugie słońce błyśnie,
nim cię ramię me uściśnie, —
jedyna, droga!

Bo wpierw zadrży martwa skała,
niż twe serce, dziewko biała;

wpierw zapłacze skała twarda,
nim się wzruszysz, dziewko harda,
dziewczyno sroga!

Więc wpierw czas się wstrzyma chyży,
nim się serce me poniży;
wpierw się dawne wrócą lata,
nim ma ręka zakołata
w twych zamków wrota!

Raczej w zimnym grobie legnę,
niźli dumną głowę zegnę, —
lecz choć spocznę w zimnym grobie,
nie przestanę śnić o tobie,
dziewczyno złota!

NA ODJEZDNEM.

Koń już czeka, nogą grzebie,
niecierpliwi się i zżyma,
a ja jeszcze żegnam ciebie,
jeszcze żegnam cię oczyma,
myślą żegnam ciebie jeszcze,
w myśli usta twoje pieszczę —
bądź zdrowa!
Księżyc wschodzi już na niebie,
paź srebrzone strzemię trzyma,
a ja jeszcze żegnam ciebie
myślą, pieśnią i oczyma:
bądź zdrowa!

W struny-m lutni trącał dźwięczne,
piosnki-m śpiewał ci ochocze
w noce ciche i miesięczne,
w ciche noce i urocze — —,
przyjdzie księżyc, przyjdą maje,
a ja w obce jadę kraje —
bądź zdrowa!

Targam struny te niewdzięczne,
bo cię nigdy już nie zoczę
w noce ciche i miesięczne,
w ciche noce i urocze — —
bądź zdrowa!

Nie uprosił ja cię pieśnią,
nie ubłagał ja cię dźwiękiem, —
niech się lutnia skryje pleśnią,
niech się z głuchym strzaska jękiem;
już mi ona nie potrzebna,
nie potrzebna pieśń podniebna —
bądź zdrowa!
Szczęście mija — sny się prześnią,
— biada ludziom z sercem miękkiem! —
niech się lutnia skryje pleśnią,
niech się z głuchym strzaska jękiem —
bądź zdrowa!

Koń już gotów, jam już zbrojny,
miecz już w ręku lśni niezłomny —
księżyc patrzy nań spokojny,
taki biały i ogromny, —
patrzy księżyc z nieb przestworza;
niech cię chroni ręka boża —
bądź zdrowa!

Na świat lecę i na wojny,
na śmierć lecę, ptak bezdomny;
księżyc patrzy tak spokojny,
taki biały i ogromny...
bądź zdrowa — —

BAJKA O SKOWRONKU I ZAMORSKIEJ KRÓLEWNIE.

Śnieg na dworze, zawierucha, —
w izbie lampa jasno świeci,
na kominku ogień bucha;
bajki chcecie? Dobrze, dzieci!

*

Był skowronek jeden mały,
na ojczystej zrodzon ziemi;
wszystkie serca go kochały,
bo wychował się wraz z niemi.

Kiedy wiosną szedł już w pole
z pługiem rolnik, skowroneczek
ponad czarną leciał rolę
i nadzieję siał z piosneczek.

Na rodzinną śpiewał nutę,
dla rodzonych śpiewał braci,

piosnką znoje chłodził lute:
za pieśń rodak sercem płaci.

Lecz choć kochan, mały ptaszek
nie był szczęśliw w swojej doli;
pośród śpiewów i igraszek
czuł, że w sercu coś go boli.

Tak mu smutno, tak mu ciasno
na ojczystej było niwie;
w dal poglądał siną, jasną, —
piosnka brzmiała wciąż tęskliwiej...

Wsie drewniane, sielskie strzechy,
wonne lipy, bory ciemne,
piosnki dziewek, dzieci śmiechy
już nie były mu przyjemne.

Bo gdy w niebo wzleciał czasem,
widział w dali wielkie góry,
a za górą, a za lasem
kraje jasne, mórz lazury...

I zachciało mu się nagle
w obce ziemie iść za słońcem,
słabych skrzydeł rozpiąć żagle
i ulecieć w światło gońcem...

Więc jesienią, gdy słoneczna
tarcza blednie, wichry warczą
i chmur pełna toń powietrzna, —
za słoneczną poszedł tarczą.

Leciał długo... Jakby w baśni,
cudny widział kraj w podróży,
kędy słońce świeci jaśniej
i silniejsza jest woń róży.

Ponad morskie wzbił się tonie
i pomęczył już skrzydełka, —
aż tu patrzy: w drzew koronie
tuż tuż przed nim wyspa wielka.

Siadł odpocząć. Pojrzy: zamek
koralowy przed nim stoi,
pełen okien, wieżyc, bramek;
to stolica Cud-dziewoi!

Ona sama, mórz królewna,
jako róża — tak urocza,
jako wietrzyk — tak powiewna,
lecz jej smutek skroń omrocza.

Sama żyje w wyspie cudów,
ani ojca, matki, braci;

cóż jej z tego, że sto ludów
morskich haracz jej tu płaci?

Wieczorami w kryształowem
w słońce patrząc staje oknie
i narzeka pieśni słowem,
a w łzach piękna twarz jej moknie.

Skowroneczek gdy ją zoczył,
żal go ścisnął nad jej losem;
wraz pod okno na krzew skoczył
i pieśń zaczął drżącym głosem.

Odtąd ciągle śpiewał dla niej,
codzień tkliwiej, codzień czulej,
bo rozkochał się w tej pani,
w jasnookiej tej zazuli!

A królewna? Ona ptaszka
bardzo, bardzo — polubiła!
wszak śpiew jego to igraszka
i rozrywka w nudzie była!

Czasem szepnie: mój ty drogi! —
z ust różanych poda wiśnię;
a skowronek, oj niebogi!
szczęśliw, gdy mu okiem błyśnie.

Rok już mija, — drugi — trzeci —,
ptak nie wraca na swe łany;
czy zapomniał? Ach, czas leci!
on w królewnie zakochany...

Czy szczęśliwy? Nie! Dlaczego?
wszak królewna ptaszka pieści, —
on ją kocha, ona jego,
skąd więc w nucie jęk boleści?

Sielskie piosnki z serca śpiewa —
lecz, niestety, on już czuje,
że miłosna jego dziewa
głosu jego nie pojmuje!

Chętnie wprawdzie piosnek słucha,
lecz nad rzewną — nie zapłacze,
i choć z piosnki miłość bucha,
serce w łonie jej nie skacze...

Pieśń nadziei, którą łany
rozweselał pól rodzonych,
tutaj kona, jak zbłąkany,
głuchy odzew dni minionych!

Więc mu boleść serce krwawi,
a tęsknota jakaś duża

pieśń weselną niegdyś — dławi;
z mroku przeszłość się wynurza...

Żal — ojczystych pól szerokich,
żal — tych ludzi, co kochali,
żal — przy chatach drzew wysokich,
żal — srebrzystej rzecznej fali...

Wrócić jednak nie ma siły;
ach! on kocha Cud-dziewicę,
bez niej żywot mu niemiły, —
woli mrzeć, w jej patrząc lice!

Po co wracać? Któż zrozumie
dziś pieśń jego smutkiem tchnącą?
Dawnej piosnki już nie umie,
dawni bracia go odtrącą!

Już zapóźno! Został zatem
i wciąż śpiewał — niepojęty,
ale w pieśniach z każdem latem
gęstsze były smutku męty...

Co go czeka? Kiedyś rankiem
skończy ciężkie życia chwile,
a królewna nad kochankiem
powie: Szkoda! — Ot i tyle!

*

Otóż bajka! Prawda, dzieci,
głupi ptak ten? — prawda? — głupi!?
niech w zamorski kraj nie leci,
kiedy szczęścia tam nie kupi!

Śmiej się z niego! Cóż to? Łza ci
na powiece świeci, dziecię?
Niech ci za nią Bóg zapłaci!
ptaków takich dużo w świecie...

PRZEZ CMENTARZ.

O, dziewczyno, czy pamiętasz —
pamiętasz?
noc majową, cichy cmentarz,
ten cmentarz?
Stare krzyże, bzy pachnące,
pachnące —
i te gwiazdy w górze lśniące,
tak lśniące?

Jam cię pytał, czy mnie kochasz — —
czy kochasz?
Pojrzę na cię, — a ty szlochasz! —
ty szlochasz?...
Powiedz, czemu łzy ci płyną,
łzy płyną,
czy ja winien? ja — dziewczyno?
dziewczyno!

»O! ty winien! Ja cię kocham,
tak kocham...

i ze szczęścia teraz szlocham,
ach, szlocham!«
Jam całował twoje oczy,
twe oczy, —
czoło, usta, splot warkoczy,
warkoczy...

Dzisiaj idę znów przez cmentarz,
przez cmentarz;
w myślach pytam, czy pamiętasz...
pamiętasz?
Myślę, dumam, łzy mi cieką,
łzy cieką:
jam samotny, — ty daleko,
daleko! — — —

W GÓRACH WE MGLE.

Białe morze, białe morze,
w morzu przepadł świat, —
a ty przy mnie, — jasne zorze,
biały morza kwiat,
kwiat zaklęty, wybujały,
niedosięgły kwiat mój biały...
wkoło białe morze.

Chmury płyną, chmury płyną,
pełne dżdżu, jak łez, —
(nie mojaś ty, o dziewczyno!)
gdzież tym chmurom kres?
Świeci słońce gdzieś na świecie;
(ty nie dla mnie kwitniesz, kwiecie...)
wkoło chmury płyną.

W NOC NA MORSKIEM OKU.

Lśni pod gwiazdami toń jeziora blada
i gór się widma pławią na głębinie;
w bezkres łódź nasza, jak duch, lekko płynie,
a dusza moja tobie się spowiada —.
Spowiada ci się w Tatr ogromnej ciszy,
choć nie wie, czy ją twoja dusza słyszy...

Tak ci się skarży, jako małe dziecię,
z młodości szumnej, która leży w grobie,
z wiar i nadziei straconych — i tobie
wyrzuca z cicha, żeś się jej na świecie
dopiero wtedy zjawiła, gdy ona
ma już ze skrzydeł odarte ramiona.

NA MIĘGUSZOWIECKIEJ PRZEŁĘCZY.

Pytasz mnie, pani, com widział tam z góry,
z tej wśród obłoków zawrotnej przełęczy?
Widziałem w dole cichych wód lazury,
bezdenne, rąbkiem opasane tęczy,
co wyglądały jako twoje oczy,
gdy łza je — na mnie zwrócone — zamroczy.

Widziałem w dali czarodziejskie niwy,
skąpane w morzu słonecznego złota,
wyglądające, jak ów kraj szczęśliwy,
który stworzyła moich snów tęsknota
gdzieś po za życia jawą i żałobą, —
a kędy nigdy ja nie będę z tobą!

A bliżej — czarne, w mgłach przepastne turnie,
takie posępne, jako myśli moje,
co ku błękitom spiętrzają się górnie
i zaś, jak skały w toń, tak w oczy twoje
patrzą — i ani wniebowstępną drogą
wznieść się, ni w głębiach zatonąć nie mogą.

W DOLINIE PIĘCIU STAWÓW

Patrz! oto mogę tę skalną pustynię
zasiać dla ciebie pieśni mych kwiatami,
tęczowe mosty nad wodospadami
budować stopom twym, i w mgle, co płynie
rozwiewna, biała nad zielone hale,
rzeźbić ci widma jasne, jak opale!

Mogę dla ciebie ożywić te szczyty,
mogę na ciemnych wód tych przestwór cichy
rzucać, jak gwiazdy, moich snów przepychy
i słać świetliste pod twą łódź błękity,
przez które duch mój ciebie, jakby dziecię,
poniesie kędyś w szczęśliwe zaświecie.

Świat przeczarować tobie mogę pieśnią,
nad senną główką twą rozdzwonić gaje,
a we śnie takie pokazywać raje,
o jakich nawet aniołowie nie śnią;
przedziwnych cudów zdziałać mogę siła,
kromia jednego: byś ty moja była...

CZARODZIEJSKIE SŁOWO.

Znam jedno słodkie, czarodziejskie słowo,
co złotym kluczem jest od bramy raju,
a niwę życia zamienia jałową
w ogród, w przewonnym rozkwiecony maju —
i jako zorza jasna na błękicie,
tak opromienia, wschodząc, ludzkie życie.

Znam jedno słowo, co kwiaty na grobie
sieje i gwiazdy rozpala na niebie,
lecz ni je do mnie kiedy wyrzec tobie,
ani mnie kiedy słyszeć je od ciebie;
— w Tatrach się jeno, śród wieczornej ciszy,
śniło mej duszy, że je z blizka słyszy.

Może to limby w wietrze je szeptały,
może to halne niem pachniało kwiecie,
może się modlił niem ten obłok biały,
co szedł ożywczą rosę siać po świecie, —
może płakało niem me serce dumne,
serce stęsknione, serce nierozumne!

»NEVERMORE«.

To sen był wszystko! Te podniebne góry,
te zakochane u stóp ich jeziora
i te gdzieś w bezmiar niosące nas chmury,
ta hal słoneczność, te borów ogromy
i te potoków modlitwy z wieczora:
to sen był wszystko, krótki i znikomy.

Ani ja ciebie w życiu kiedy zoczę,
ani ty wspomnisz kiedy moje imię,
choć przez tatrzańskie szliśmy podobłocze
razem, choć dłoń twa drżała w mojej dłoni,
gdy nad przepaście schyleni olbrzymie,
niebo u stóp swych widzieliśmy w toni.

Tak lepiej: nigdy! Co przeszło, nie wskrześnie —
i niemasz miejsca na szerokim świecie,
gdziebym cię moją nazwać mógł choć we śnie,
jako w tych górach, na tych cichych wodach —
o, śnie mój złoty! ty mój biały kwiecie,
w zamkniętych dla mnie wyrosły ogrodach!

GŁOS Z PRZEPAŚCI.

Ponad przepaścią stanąłem na grani,
a Śmierć mówiła do mnie tak z otchłani:

»Nie jestem straszna! Wy Życiu wierzycie,
a wszakże lepsza jestem ja, niż Życie.

Życie was pędzi przez ból i zawody;
we mnie kojąca krynica ochłody.

Pójdź tu! — krok jeden... To trwa krótką chwilę,
nie bardzo boli. Potem — ciszy tyle...

Nie chcesz? Ha, trudno! Jeszcze ci się śmieje
życie — szaleńcze! — jeszcze masz nadzieję?

Więc idź ją stracić. Poznaj, że nie mieści
życie nic w sobie, krom łez i boleści.

Śnij, wierz i kochaj! Łudź się jeszcze chwilę,
aż na ostatniej zawyjesz mogile.

A potem wróć tu. Ja jestem cierpliwa,
przyjmę cię zawsze, jako matka tkliwa.«

SEN.

Czoło moje na kolana
twe złożę, —
i śnić będę, ukochana,
sny boże!

I śnić będę, żem jest dziecię
znów małe,
jak anieli, tak na świecie
tym białe —

I śnić będę, żem swych skrzydeł
nie skalał;
żem szczęśliwie z grzechu sideł
ocalał.

I śnić będę, żem jest biały
i święty;
że me usta nie zaznały,
co męty.

I śnić będę, żem jest godny
twej duszy,
że mi mózgu robak głodny
nie suszy...

Lecz sen cichy, sen spokojny
przeminie:
życie w wirach wiecznej wojny
znów płynie — — —

Znowu walka, znowu błoto —
bez końca!
a wciąż wzbiera pierś tęsknotą
do słońca...!...

E. A. POE.

ELDORADO.

Jak gdyby w tan
rycerski pan
dniem jechał, nocą bladą
wśród pól i drzew
i śpiewał śpiew,
szukając Eldorado.

Lecz z biegiem lat
ten rycerz chwat
twarz schylił smutkiem bladą:
jak wielki ląd —
ni jeden kąt,
by był jak Eldorado!

U schyłku sił
napotkał był
pielgrzyma — marę bladą.
»Maro! — rzekł — stój!
gdzie kraj ten mój
być może, Eldorado?«

»Za srebrny mur
Księżyca Gór,
w Dolinę Cieniów bladą
goń, śmiało goń!
— Cień rzecze doń —,
a znajdziesz Eldorado!»

WESTCHNIENIE.

Hej, kwiecista, śpiewna wiosno,
czemuż pędzisz tak?
Ledwo piórka w skrzydłach wzrosną,
ledwo wzleci ptak,
ledwo pocznie pieśń radosną:
już mu skrzydeł brak!...
Hej kwiecista, śpiewna wiosno,
czemuż pędzisz tak?!

O! majowe dnie, poranki,
gdzież wasz święty czar?
Kędyż blaski ócz kochanki,
gdzie dusz młodych żar,
kwiatów wonie, róże, wianki
w snach widzianych mar?
O, majowe dnie, poranki,
gdzież wasz święty czar?

Wiosno, wiosno, jakże szybko
uleciałaś w dal!

Zanuciłaś nad kolebką
szumem srebrnych fal,
błysłaś gwiazdą, plusłaś rybką —
w sercu został żal — —
Wiosno, wiosno, jakże szybko
uleciałaś w dal!

ZWIDZIAŁO MI SIĘ...

Zwidziały mi się mej młodości sny,
czarowne sny:
w skwar południowy gdzieś błądzące mgły,
gorące mgły —
i na jaśminach rozkwitnionych łzy,
ros wonne łzy...

Ach! zwidział mi się mej młodości raj,
snów moich raj:
przez czarodziejski, rozśpiewany gaj,
złocisty gaj —
lecący słodki upojenia maj,
rozkoszny maj...

Przywidział mi się dreszcz młodzieńczych sił,
przebujnych sił,
co szedł nurtami wszystkich moich żył,
czerwonych żył
i w każdem tętnie płonął, grał i bił,
jak dzwon, tak bił.

Dawna, na oczach jaśniejąca dal,
słoneczna dal,
biały szczyt ducha nad świeżością hal,
nad runią hal
i bieg w zawody tam, gdzie święty Gral,
gdzie świeci Gral...

Przyjaciół, druhów, braci miłych krąg,
serdeczny krąg,
drżenie związanych razem bratnich rąk,
i serc i rąk,
na bój, na życie, zgon, śród sławy — mąk,
chociażby mąk...

Przesłodkich, wiotkich ciał dziewczęcych czar,
uścisków czar,
szept pocałunków, ust gorących żar
i oczu żar,
odurzająca włosów woń — i gwar,
słów cichych gwar...

Zwidziało mi się! Dawno okwitł bez,
jaśmin i bez,
a wiatr mi szumi gorzkich pełen łez:
tak pełen łez:
„Dis, qu'as-tu fait, toi, pleurant sans cesse,
de ta jeunesse?...“

KTO JESTEŚ?

Kto jesteś?! Mój duch się wyrywa ku tobie,
wyciąga ramiona — i myśli i czucia
pod nogi ci miota — i wieńce ci zwija
z promieni fantazji, by stopy twe wieńczyć,
gdy nie śmie uwieńczyć ci czoła! Tam gwiazda
się pali i ducha przykuwa, a razem
odtrąca. Jej blaski tajemne co wróżą?
Azali aniołem ty z nieba, co w gwiazdy
szedł z blaskiem i pieśnią i dźwiękiem bez słowa,
a ziemię zoczywszy zdziwiony się wstrzymał,
jak bogacz co nędzę raz pierwszy obaczył?
Rozwiniesz-że skrzydła i wzniesiesz się znowu
w bezbrzeżną piękności i pieśni krainę?

A może ty demon, co z piekieł otchłani
wzniósł głowę szyderczą i dziką — i szatą
piękności potworne okłamał oblicze,
by ludzi, co w piękno postaci uwierzą,
ognistym oddechem przewęglić, przepalić
i gwiazdom i niebu urągać popiołem?

Czy jutrznia, czy ognik w bagnisku poczęty
twe skronie ozdobił: nie ludzkie to blaski! —
i duch mój tem światłem w wir uczuć porwany
darami ci sypie, lecz zbliżyć się lęka,
bo czuje, że w tobie jest szczęście bez końca,
lub... męki bez końca! Kto jesteś, o piękna!?

*

O nie patrz! o nie patrz! wszak widzisz, że szał mię
porywa! — O, nie bij oczyma w me piersi,
wszak słyszysz, że jęczą jak harfa przed tobą,
jak harfa, gdy struny targane szalenie
w ostatniej się pieśni rozkrzyczą — nim pękną!

Ty chcesz więc przedśmiertnej tej pieśni łabędziej?
Chcesz widzieć, jak dusza poety umiera
i w jakie się głosy rozchodzi po niebie,
nim zniknie i zmilknie na wieki? Więc dobrze!
Opierać się nie chcę, nie mogę! Więc zagraj,
o piękna! — więc zagraj i słuchaj!
Z swych skarbów ma dusza dla ciebie kobierzec
zrobiła — i nic już, — krom życia — nic nie ma!
Więc bierz je, to życie wcielone w śpiew wielki,
ostatni! Patrz! łabędź pieśń zaczął — i kona...

Ha! wiem już! ha! wiem już, kto jesteś, o piękna!

BEZ TYTUŁU.

1902.

I.

Całą noc o twych ustach myślałem: są świeże,
dziwnie świeże i wonne, choć taki je trawi
pożar, chociaż tak wielu już je całowało...
Czyżby po nich, jak gdyby po płycie z marmuru,
ogień się tylko ślizgał, przeniknąć niezdolny?...
Czyżby dotąd nie przyszedł ten, co ślad płomienny,
piętno życia niestarte wypali w ich róży,
łamiąc ust twych dziewictwo marmurowe? Może
przyjdzie dopiero... Przyjdzie. Lecz nie ja to będę...
Wiesz, co Heine powiedział? »Gdybym spotkał
w boru
tego szczęśliwca...« Znasz to. Lecz to się tak mówi...

II.

Całuj jeszcze! szalone, wściekłe usta twoje!
tak z nich upić się można, jako z czary wina!
A cóż, że kłamią? — owszem, i ja kłamię także.
Ani ja cię nie kocham, ani ty mnie. Głupstwo!
Znamy dobrze swe kłamstwo, swe kłamstwo kochamy,
tę grę zwinną nad ogni pożerczych otchłanią
i te usta szalone, usta nasze krwawe
w płomień jeden stopione, z rozkoszy omdlałe,
i na rozkosz krwią żywą znowu wzbierające!
Chociażby wszystko było kłamstwem — cóż mi o to,
kiedy prawdą jest rozkosz twoich ust, dziewczyno!
Kłam i całuj! Gorące! wściekłe usta twoje!

III.

Chciałem odejść... »Czyż po to jam cię całowała,
byś odchodził?« Masz słuszność. A więc pozostanę.
Jeszcze chwilę, godzinę, może dzień, lub tydzień,
póki pragną się jeszcze wzajem usta nasze,
póki drżą nasze ciała splecione w uścisku!
Potem (tak! bo przeminie to, wiesz o tem sama)
potem — odejdę, tak jak przyszedłem, swobodny,
nie zostawiwszy tutaj ni kawałka duszy,
która była daleko w tych szalonych chwilach
i gdy ciała się nasze w płomieniach stapiały,
zadumana i smutna w chłodnych gdzieś błądziła
gajach, do których ona zna jedynie drogę...
Wiesz, że z goryczą myślę o tem? Śmiej się, piękna!

IV.

Jak się kiedyś spotkamy? Na cóż myśleć o tem!
Mówiąc z tobą, zapomnę, żem cię zwał — imieniem;
patrząc na cię w balowej sali, pośród ludzi,
nawet myśleć nie będę, żem cię widział nagą,
żem znał ciało twe młode, w strojnej sukni skryte
i wiedziałem, jak słodkie jest i jak upojne!...
Trzęsiesz głową? nie wierzysz? sądzisz, że ja będę
myśleć zawsze...? Mój Boże! — Ale po co gryziesz?
Patrz, twe zęby mi wargę rozkrwawiły! Teraz,
póki się nie zagoi, nie zapomnę... Usty
do ust moich przypadłaś i krew pijesz. Idź-że,
głodny, słodki upiorze! — Albo pójdź, pójdź bliżej...

FAUST I MEFISTOFELES.

1894.

MEFISTOFELES

Pójdź, Fauście! Do licha zapylone księgi!
Rzuć gonitwy za wiedzą! — one bezowocne!
inne bóstwo ci wskażę, które porwać mocne
i niedowiarka nawet czarem swej potęgi!

FAUST

Darmo zwodzisz mię, duchu! Nie wierzę, by w świecie
coś znalazło się jeszcze warte trudu, wiary...
Marność wszystko — i wszystko jeno złudne mary!

MEFISTOFELES

Ej! spróbuję! — a może co wynajdę przecie?...!
Słuchaj, jeśli ci wskażę w świecie nowe bogi,
nie ułudne, niknące, ale namacalne,
piękne, jasne, potężne, a nadto — realne,
jak mi za to zapłacisz, mój ty mędrcze drogi?

FAUST

Daj mi bóstwo, przed którem uderzyłbym czołem,

daj mi bóstwo, co z rąk się nie wymknie jak złuda,
a ja duszę ci oddam za takowe cuda, —
wszystko jedno: szatanem jesteś, czy aniołem!

MEFISTOFELES

Zgoda! — — Oto skinieniem ręki burzę ściany:
widzisz! widzisz, Fauście, ten obraz przed sobą?

FAUST

Czy ja marzę? czym w błękit uleciał wraz z tobą?
Jakaż ona urocza! czy to duch świetlany?!

MEFISTOFELES

Cha! cha! mędrcze! cielesna ona, ta dziewica!
Popatrz! Śpi tak niewinna pod białą firanką...
Cóż za rozkosz by była mieć ją swą kochanką...?

FAUST

Ha! nie bluźnij! Kochanką! — ona anielica!

MEFISTOFELES

Dobry sobie! Anioły nie są tak ponętne!
Patrz! opadło z jej piersi nakrycie; — bielizna
lepiej stroi niż suknia — nawet mędrzec przyzna!
Patrz na twarz jej! Te rysy tak dziewicze, smętne...
sen tak cichy... A wiesz ty, o czem ona marzy?

Śni, że motyl leciuchny usiadł jej na usta,
łechce, draźni — a przecież go dziewczyna pusta
nie chce spędzić, choć czuje rumieniec na twarzy...
Nie wie czemu... Ten motyl rozkoszny ją wstydzi...
Śni, że lilję do gorsu wpięła, a lilija
pierś kielichem musnęła i w łono się wpija...
»To nie dobrze, lilijko... Chociaż nikt nie widzi,
jednak, kwiatku, nie trzeba — — choć ja sama nie
wiem...«
Hej! rozkoszny ten kwiatek! Dziewczę się nie broni,
nie ma siły, krew czuje falującą w skroni —:
jakże krew ta gorąca, jak pali zarzewiem!
Widzisz? przez sen się piersi wznoszą pod baty-
stem;
czekaj — troszkę odchylę, widzisz? pierś tak biała,
tak młodziuchna, okrągła... Co za kolor ciała!
jaka miękkość! Jak pięknie jej z tem gzłem przej-
rzystem,
z pod którego wyziera utoczone ramię,
żyłek siatką pocięte i rozkosznie świeże!
— Cóż to? nie drżyj, Fauście! — ty mędrzec, nie
zwierzę! —
Widzisz czarne maleńkie to na piersiach znamię?
Do całowań stworzone! Cicho — jeszcze troszkę
tej zasłony uchylę. Jakie cudne łono!
rzeźbiarz żaden piękności takiej nie śnił pono!

Wenus! Wenus prawdziwa! Patrz, wzruszyła nożkę —
co za kształty! Nóżęta obie przez sen splata
i wypręża się cała... Co za sny mieć może?
Uśmiechnięta, na licach rumieni się zorze;
może łechce ją lekka batystowa szata?

FAUST

Puść mię! puść mię, szatanie! bo mię krew zaleje!

MEFISTOFELES

Czyż się godzi mędrcowi z tak wielkim zapałem
pragnąć czegoś, co kształtem tylko jest i ciałem!

FAUST

Puść mnie!

MEFISTOFELES

Czekaj! Uważasz, jak słodkie nadzieje
to rozkoszne stworzonko wzbudzić może, gdyby
pokochało? Gdy ramię ją lube otoczy,
zadrży cała i przymknie wpół-zamglone oczy...
Zalękniona, pragnąca — a waha się niby;
pierś się wznosi falami żądzy jakiejś nowej —
pocałunki ją palą...

FAUST

Ha! dosyć, szatanie!

MEFISTOFELES

...jeszcze broni się, walczy, lecz wkrótce przestanie —
mgła jej oczy zasłania i z buzi różowej
ulatuje westchnienie: kocham... — Już opada
wpół-omdlała w otwarte ramiona kochane,
już bezbronna, już szepce słowa urywane,
już się tuli, całuje — różowa i blada...

FAUST

Moja! moja być musi! Co chcesz, dam ci za to!

MEFISTOFELES

Dobrze, zróbmy ugodę.

FAUST

Prędko, prędko!

MEFISTOFELES

Zaraz!
tak wszystkiego załatwić niepodobna naraz!
Naprzód musim się jeszcze uporać z zapłatą.
Więc warunek — niewielki a nawet nie trudny —
jeden tylko warunek...

FAUST

Mów prędko! — jam gotów...

MEFISTOFELES

Nierozumnych od dziś-dnia zaprzestawszy wzlotów,
rozkosz, której jest pełen ten twój... anioł cudny,
będziesz pił...

FAUST

Zgoda! zgoda!

MEFISTOFELES

Bierz ją zatem, człecze!

FAUST

O rozkoszy!

MEFISTOFELES

(Już siedzi w szponach mych po uszy!
Cha! cha! cha! cha! — nie żądam nawet jego duszy,—
dusza zdechnie wpierw, nim ją z ciała śmierć wy-
wlecze!)

SMUTKI.

1893—1897.

KRÓLEWNA.

Przez łany, pola, przez łąki kwieciste
idzie a idzie, roniąc łzy rzęsiste,
hej, królewna, królewna!

W księżycu świecą łzy na białej twarzy,
a ona idzie i marzy i marzy —
hej, królewna, królewna!

Kwiaty się kłonią pod jej białe stopy,
a miesiąc z góry rzuca srebra snopy — —
hej, królewna, królewna!

W dal idzie płacząc, łzy jej cicho płyną;
księżyc się chowa w mgłę gęstą i siną...
hej, królewna, królewna!

Płacze i oczy kryje w białej dłoni, —
a łańcuch u nóg jej dzwoni i dzwoni — — —
hej, królewna, królewna!

TAK MI NA SERCU...

Tak mi na sercu, jakgdybym utracił
coś, co mi drogie było w życiu bardzo,
jakbym za stratę krwią a łzą zapłacił,
chociaż wiedziałem, że ludzie pogardzą
ceną, że jęk mój dziki śmiech zagłuszy,
że łzy północy wiatr z oczu wysuszy...

O! tak mi ciemno, tak mi źle i smutnie,
jak na rozdrożu stojącemu w burzy,
kiedy żałosne grają w drzewach lutnie,
a błękit cały ćmi się, kłębi, chmurzy —
i tylko czasem iskra gromu leci,
zabija — potem umarłemu świeci!

Drogowskaz pono był tu, lecz ramiona
opadły dawno, słup ku niebu sterczy:
wskazuje-ż drogę? — czy też na chmur łona
i na pioruny podniósł się bluźnierczy,
i czeka, rychło grom go jasny zetnie,
konać mu każąc w pustkowiu — bezdzietnie?...

Żaden już napis nie pokaże drogi
i step zostanie bez brzegów — bez końca! — —
Lecz może kiedy wędrowiec bez trwogi
zajdzie tu blaskiem przywabiony słońca,
może postawi duchem znaki nowe
w miejscu, gdzie stary słup położył głowę...?

DUMKA.

Przez kamienie, przez wąwozy
płynie strumyk w dal,
a nad brzegiem srebrne łozy
grają tęskną pieśń do wtóru
chorałowi fal;
w każdej nucie tego chóru
smutek jakiś—żal!

W ciemnym lesie szumią drzewa,
szumi cały bór —
a wiatr pędzi i przelewa
pieśni one na doliny,
hen z wierzchołków gór...
Strumyk, łozy i drzewiny:
jeden wielki chór!

A z mej duszy z pieśnią smutną
płynie tysiąc skarg
na dłoń losów złą, okrutną,

która wszystkie serca głosy
z bladych zdjęte warg,
jakby zżęte z łanu kłosy,
rzuca w świata targ!

Hej! jak kłosy na boisku
pod cepami mrą,
tak me pieśni, nie dla zysku
wyśpiewane, lecz dla woni,
w ludzkich rękach schną!
słomę w pola wicher goni,
ziarno młyny trą!

I na zasiew nie zostanie
ani jeden kłos;
na mej duszy bujnym łanie
nie ostoi źdźbło zielone
przed żelazem kos:
wszystkie pieśni w krąg zsieczone,
wszystkim jeden los!

Z WIECZORNYCH WRAŻEŃ.

Wieczorną porą nad ciche sioła
rozkołysanych głos dzwonów płynie,
spiżową pieśnią ku niebu woła,
srebrzystą skargą po rosach ginie...
A nieuchwytny, choć wielki i silny,
a nie raduje, choć zda się wesoły,
a nie zasmuca, choć zda się mogilny,
a nie ukaja, choć są w nim anioły...

Tak się i moje uczucia żalą —
i chciałbym płynąć przez mgliste drogi
razem z tą słodką, tą dźwięczną falą,
co, zda się, bije o niebios progi.

Wieczorną porą na kwietnej łące
woni moc wielka poi, odurza;
to polne kwiaty silnie pachnące,
storczyk i tymian i dzika róża...
O, nieuchwytne a błogie wonie!

do snów kołyszą i ze snu budzą,
dzika w nich jakaś namiętność płonie,
i tęsknić każą i serce łudzą...

Tak się i moje pragnienia palą —
i chciałbym płynąć przez mgliste drogi
razem z tą słodką, tą wonną falą,
co, zda się, bije pod niebios progi.

Wieczorną porą w znużonej głowie
dziwne się myśli rodzą i świecą.
Dziwne! — nie dają zamknąć się w słowie,
a czasem bystro gdzieś w górę lecą,
a czasem błądzą, marnieją, giną....
Jest w nich coś z jęku wieczornych dzwonów,
coś z polnych woni ponad doliną,
coś z nieuchwytnych, anielskich tonów...

Moje te myśli — a przecież cudze
i tak mi trudno pojąć ich loty.
Czy one z nieba? Może się łudzę,
może są tylko z ziemskiej tęsknoty?...

STARY MŁYN.

Czasem wieczorem rozszumią się jodły,
ciemny bór zabrzmi i do życia wstanie;
fale strumienia, jakby wtór mu wiodły,
z głębi srebrzyste wyżalą płakanie —
i słychać wtedy w całym świecie modły
spieśnionych tworów, a na ziemskim łanie
błogo i dobrze i anielsko bywa:
melodja, zda się, z bram niebieskich spływa.

I gra orkiestra! W tem nagle przycicha;
milkną przerwane akordy w połowie
i taką głuszą znowu świat oddycha,
że myśli niemal słychać szelest w głowie,
słychać, jak w lesie ćma trzepoce licha,
jak sowa z gniazda zrywa się w parowie...
Cisza. W tem łoskot wzniósł się nad wodami:
młyn się odezwał — zachrzęściał kołami.

Młyn stary — nocne odmawia pacierze;
drewniane ręce podnosząc ku górze,

wodę garściami w dłonie z desek bierze,
a potem w kropel rozmgławia ją chmurze
i czoło kryje w to białe opierze,
a że mu łozy obrosły podnóże,
więc go nie widać z za wód i zieleni,
stuk tylko słychać i kół i kamieni.

I jest młyn wtedy jak duch u człowieka:
choć nie widzialny, przecież jęczy głośno,
a we mgle spowit z tęsknotą narzeka...
Chciałby odegnać mgławicę nieznośną,
więc coraz szybcej wodę kołem sieka,
zżyma się, zrzędzi i smutno i złośno,
ale z mgły ruchem skrzydeł podwojonej
coraz się gęstsze wzdymają zasłony.

Wiatr powiał świeży; — młyn odetchnął wolno!
Mocarz! — dławiące rozegnał tumany
i z głębi lasów woń mu przyniósł polną.
Raźniej się ruszył młyn w wietrze skąpany
i zboże pracą kamieni mozolną
roztarte, chyżo napełniało dzbany.
Skorzej, radośniej młyn się w wodzie pluszcze,
a pieśnią wielką w takt mu grają puszcze...

Czy lasy płoną? Pomiędzy konary
czerwone jakieś rozpala się zorze.

Bór jest jak ręka olbrzymiej poczwary,
a w niej, jak złota stopionego morze,
łuna. Ogniste już srebrnieją żary,
lśni się już z wierzchu czarnej puszczy łoże,
lśni się już woda: to czarodziej wstaje,
olbrzymi księżyc wypływa nad gaje.

Jasno! Cień długi po łozach się łamie,
a młyn się zdaje być olbrzymem z baśni;
potężne w światło wytknął z mroku ramię,
a księżyc po niem pływa coraz jaśniej.
Młyn, jakby kapłan w świętej nocy chramie,
namiętnie szepce: o, światło! nie gaśnij —
przez łzy perłowe z rozkoszą się śmieje...
Księżyc się wznosi i ziemia widnieje...

Pod kołem woda gwiazd ulewą pryska,
a reszta dawnej, duszącej mgławicy
pod czarów różdżką jasnym duchem błyska;
jak na rusałek letniej wieczornicy,
życie i światło z kaskad wody tryska.
Ożył świat cudów! Słowo tajemnicy
zaklęć powiedział księżyca blask nocny,
nieśmiały niby, a czysty i mocny.

Młyn jest pałacem ze srebra, opali,
nad rzeką pereł stawionym zaklętą;

wewnątrz księżniczka na łożu z korali
zaczarowana marzy miłość świętą...
Łozy zadrgały, tentent słychać w dali, —
jedzie-ż królewicz wybawić zaśniętą
i czary dzielnem rozłamać ramieniem?...
— Ach! czemuż złudnem to wszystko marzeniem!

TRZĘSIENIE ZIEMI.

Na balkonie siedziałem. Wieczór letni, cudny,
ponad miastem ogrodów senną powiał szatą.
Na ulicy przycichał gwar przed chwilą ludny,
światła w oknach błyskały. Cisza była. Za to
z wiatrem zapach szedł silny, do oddania trudny,—
z tych zapachów, co w Alpach zna je tylko lato:
zapach róży, jaśminu i fali jeziora,
grającej cicho słodką symfonję wieczora.

Światło latarń wplątane w drzew zielone liście
po rzeźbionych się kładło ścianach willi, w sznury
wina strojnej dzikiego i w róż pnących kiście.
W mrocznej dali czerniały granitowe mury
wielkich wiedzy przybytków, a dalej srebrzyście
toń jeziora jaśniała, za nią śnieżne góry,
nad górami dwurogi księżyc już zachodził
i po głębiach złociste runy blaskiem wodził.

Cisza była i marzyć zachciało się duszy;
luba jakaś strętwiałość ogarnęła człeka, —

myślałem: ziemia śpi już — i nic jej nie wzruszy,
już zachwyty przeżyła — i nic jej nie czeka
krom nirwany... I ducha-m ukołysał w głuszy
rozkosznego wieczoru, — opadła powieka,
myśleć prawie przestałem i było mi błogo,
jakby śmierć już tuliła mą duszę niebogą....

Nagle — cóż to — huk jakiś! Zrywam się i patrzę,
co mi śmiało spoczynek przerwać tym łoskotem?
Wkoło wszystko jak przedtem, tylko niebo bladsze,
duszniej jakoś się piersiom oddycha i złotem
światłem drgają latarnie — i drzewa, jak w wiatrze
lekkim, rozkołysane. Chwila ciszy, — potem
znowu odgłos się wzmaga olbrzymi, podziemny,
grzmiący zdala jak burza groźny i tajemny.

Pędzi! Słyszę! Już bliżej! Jak tentent tabunów
rozhukanych rumaków, rośnie, potężnieje;
w grzmot się zmienia podziemny i w ryki pioru-
nów!
Drgnęła ziemia! Już balkon kołysze się, chwieje,—
brzęczą szyby u okien. Zagłady-ż zwiastunów
piekło z łona wyrzygło? Huk straszny! Martwieje
serce w piersi! Trzęsienie! Świat się miota, ciska,
grzmi i ryczy! Czyż śmierci już godzina blizka?

Zcichło. Jak burza przyszło, — minęło jak burza.
Chwilę jeszcze tłum ludzi gwarzy przerażony,
ale wkrótce umilka. Świat się znowu wnurza
w martwą głuszę, — znów pusto, — jeno drzew
korony
zlekka jeszcze się chwieją, — otrząśnięta róża
w piasku leży, — jeziora wał jeszcze wzburzony,
lecz się coraz już wolniej kołysze, przysiada,
cichnie i ledwie mrukiem coś o gniewie gada.

Tyleż, ziemio, zostało po ogni wybuchu,
co ci łonem targnęły? Ognie! szkoda trudu!
O! trzęsienia i w ludzkim zdarzają się duchu;
czasem w sercach jednostek, czasem w sercach ludu
rwą się myśli na ciała żelaznym łańcuchu...
Czy zostanie po burzach ślad jakiego cudu,
czy-li tylko milczenie, lub jedynie — gruzy?
— Nic nie rzekła, choć długo pytałem się Muzy...

»HOHE PROMENADE«
W ZURYCHU.

Ludzką ręką granitów ociosanych ściana,
jakby barki Atlasa, wzgórza stok podparła,
chroniąc cieniem ulicę, która w głąb wkopana
śmiało górze wnętrzności kamienne przedarła,
łącząc miasto z jeziorem na skinienie pana
wszystkich stworzeń, — na rozkaz człowieczego
karła,
który ścisnął bieg wody kamiennym łańcuchem
i gór grzbiety połamał woli swej obuchem.

Ścieżka w zygzak złamana, przez zielone stoki,
ponad murem ulicznym wiszące spadzisto,
wiodąc w górę przechodnia ciekawego kroki,
na szczycie się rozszerza w aleję cienistą,
której drzewem się jeży wzgórza grzbiet wysoki.
Z jednej strony grzbiet owy opada urwisto
ku jezioru i miastu nad brzegami wody, —
z drugiej dźwiga zielone cmentarza ogrody.

W końcu długiej alei nad przepaści brzegiem
jest kopuła na słupach kamiennych oparta,
do świątyni podobna. Głazy tu szeregiem
rytych imion pokryte: pamiątkowa karta
wszystkich ziem podróżników... Burz i czasów biegiem
nieczytelna się wprawdzie stała i zatarta,
czasem przecież z niej oko nazwisko odkradnie,
które wspomni ojczyznę — i łza na nie spadnie...

Tuż od progów altany opada urwisko
w głogów strojne zarośla. Na dole zwierciadło
połyskuje jeziora, a tak zda się blizko,
że dość skoczyć, by ciało w toń błękitną wpadło.
Nad wodami, jak wielkie kamienne mrowisko,
tysiąc willi, pałaców i wież się rozsiadło, —
dalej wznosi się ścianą Uetliberg zielony;
śnieżne szczyty alpejskie z lewej widać strony.

O, rozkoszne ustronie! Wśród miasta, a przecie
zdala zgiełku i krzyków, ileż błogich godzin
jam tu spędził samotnie! Myśli mojej kwiecie
bujnie tutaj wzrastało; tu miejsce narodzin
pieśni wielu, co dzisiaj płyną gdzieś po świecie, —
tu jam święto obchodził ducha wyswobodzin
który w ciszy światowych myśli zrzucał brzemię,
lotem świętym nad marną podlatując ziemię.

O zachodu godzinie, gdy słońce zapada
skryć się w lasach na szczycie posiniałej góry,
bierze barwy ogniste toń jeziora blada,
śnieżne Alpy się szatą obloką z purpury,
a na dachach pałaców krwawy pożar siada,
złote drzewa i złote są altany mury
i jak gwiazdy łyskają wież kościelnych krzyże,
pod któremi żegnają słońce dźwięczne spiże.

Pieśń studzwonna nad miastem długo, długo płynie,
a ucicha dopiero po słońca zachodzie,
kiedy jasność czerwona w szarych mrokach ginie,
które barwą stalową kładą się na wodzie.
Coraz ciemniej. Nim szatę gwiaździstą rozwinie
noc urocza, nim księżyc w zwycięskim pochodzie
ziemię światłem zdobędzie: mrok się gęsty szerzy
w całym świecie — i miasto ciche pod nim leży.

Coraz ciemniej. Już gwiazdy setkami rozpala
noc na niebie, — na ziemi błyskają latarnie
na to hasło i tak się lśnią po mieście zdala,
jakby gwiazdy w ulicach rozstawione karnie.
Wszystkich gwiazd tych odbiciem drży jeziora fala;
światła wszędzie, — to eter, zda się, ziemię garnie
w jeden uścisk. Bez brzegów się szerzy, bez końca

jedna otchłań powietrzna: błękit, — gwiazdy, —
słońca...

Księżyc wschodzi. Blask igra po wód czystych
szybie,
dłonią srebrną, perłową dłonią tobie muska
i gonitwy wyprawia w falach jakieś rybie, —
skacze, błyska i miga, przewija się, pluska...
Padł na miasto — i ludzkiej uśpionej siedzibie
siadł jak anioł na czole. Błyszczy dachów łuska,
śmigłe wieże srebrzyste biorą na się groty;
całe miasto wygląda jak gród z bajki złoty.

Cisza wielka. I myśli pijane tą ciszą
biegną razem z oczami tam — na drugą stronę
wzgórza, kędy cmentarze wonią kwiatów dyszą,
kędy stoją anioły z marmuru rzeźbione,
a płaczące im wierzby nad czołami wiszą
i przyboczną straż tworzą cyprysy zielone.
Nocnych blasków kaskada w cichy cmentarz wpadła
i zbudziła odwieczne, pomarłe widziadła.

Mgły się srebrne po grobach budzą. Duchy pewno?
Widma ludzi umarłych opuszczają trumny
i gromadą się snują cichą, tęskną, rzewną...
Tłum zielonych cyprysów odezwał się szumny

i rozmawia coś z rzeszą smutkiem mu pokrewną...
Cicho znowu — i tylko bielą się kolumny
marmurowe na grobach, a mary w ich cieniu
przystanęły, — dumają o mogił więzieniu...

Teraz siedzą na grobach smutne i spokojne,
pośród ciemnych drzew białą łyskające szatą.
Drzewa chylą się ku nim wonnem kwieciem strojne;
wiatr przycichnął, by piersią nie spłoszyć skrzy-
dlatą
tych, co życia szczęśliwie ukończywszy wojnę
i spocząwszy po trudach za cmentarną kratą,
wyszli teraz na księżyc w północnej godzinie, —
wyszli, — znikną, nim krótka, letnia noc przeminie.

Sam jestem w duchów gronie, których pełen cmen-
Cicho. Nagle w alei lipy się rozpłaczą [tarz.
szumem tęsknym i pytać się zdają: »Pamiętasz,
jak przeklinałeś niegdyś samotność, z rozpaczą
walki łaknąc? Dziś błogi ci spokój!« — O, święta-ż
bo ta melodja drzewin! Duszę mą tułaczą,
rozżaloną — swym cichym szeptem w sen kołysze,
zapomnienia rozkoszne lejąc w nią haszysze...

Pojrzę w długą aleję. Na każdej gałęzi
księżyc usiadł i buja jak swawolne dziecię.

Blask padający w liściastych koronkach się węzi
i maleńkie płateczki, jak białawe kwiecie,
w czarnym piasku rozsiewa, a w liścia uwięzi
srebrny haracz zostawia. Przebóg! Jam tu przecie
nie sam! Między drzewami, — czy to dusza jaka,
czy też człowiek? — ktoś stoi! To posąg śpiewaka!

Posąg! Stoi pomiędzy miastem a grobami,
na gród żywych kamienną, białą patrząc twarzą,
w wielką głuszę umarłych wsłuchany. Nocami,
kiedy gwiazdy się srebrne na błękitach żarzą
i powietrze się syci letnich drzew woniami,
lipy z wiatrem o czasach przeminionych gwarzą:
on się budzi — i patrzy — i myśli — i słucha, —
z twarzy jasnej płomieniem nieśmiertelność bucha.

Poręcz z głazów otacza podnóże pomnika,
obok płacze perłową łzą mała fontanna,
a z jej szeptem się wiąże w akord lip muzyka —
i hymn płynie: »O witaj, ty gwiazdo zaranna
Pieśni! — ojcze śpiewaków, coś nutę rolnika
i pasterza uświęcił! O, cześć ci! Hosanna,
nieśmiertelny! « — A pieśniarz słucha tego dźwięku,
co brzmi swojsko, jak niegdyś lutnia w jego ręku...

O! szczęśliwy!...

LUNATYCZKA.

Martwa cisza dokoła. Miasto we śnie leży;
zgasły światła po domach, wszędy spokój głuchy...
Księżyc w pełni wypłynął i promienie szerzy,
po ulicach rozsnuwa jakby nocne duchy —
a gmachy wyglądają w tej srebrnej odzieży,
jak trupy śmiertelnemi okryte rańtuchy:
z jednej strony świec płomyk martwe lico krasi,
z drugiej całun zwojami słabe światło gasi.

Cichy klasztór olbrzymi. We śnie zakonnice
modlitwami znużone o swym Bogu marzą...
Pusty kościół i tylko przed ołtarzem świece
mdławym blaskiem płonące dla przybytku strażą.
Księżyc padł na gotyckie, szklane okiennice
i do środka zagląda trupio bladą twarzą.
Wieża w niebo gdzieś śmiga, jak niezmierna strzała;
złota kula u szczytu jakby gwiazda pała.

Po kolumnach i łukach samotnej wieżycy
księżyc nici świetlane rozsnuł promieniami,

ale ogrom noc tuli. Zajęczał w dzwonnicy
zegar stary: czas mija a wieczność przed nami...
Na to hasło drzwi szczękły w narożnej kaplicy,
we drzwiach staje dziewica z bosemi nogami:
włos bujny aż do pasa, w bieli tylko cała;
łono dłonią okrywa, — w drugiej lampka pała.

Stąpa śmiało, choć oczy pod powieką skryte.
Twarz ku górze podnosi: przybladłe jagody,
trudy, nocne czuwania na licach wyryte,
ale czoło rozświetla blask świętej pogody:
piękność ducha w niem mieszka. Przez kamienną płytę
sunie, kędy na wieżę mroczne wiodą schody;
drzwi zamknęła i niknie nakształt nocy ducha,
tylko światło jej lampki przez szczeliny bucha.

Nagle światło zagasło. Przez chwil krótkich parę
słychać szelest jej kroków — lecz i ten umilka,
głucho znowu. Wtem nagle ponad gzemsy szare
błysła biała zasłona... Jeszcze jedna chwilka —
i pod niebem u szczytu, kędy słupy stare
dach dzwonnicy dźwigają już przez wieków kilka —
ręce w górę podnosząc, stoi wiotka dziewa;
tuż nad skrajem przepaści światło ją oblewa...

Do księżyca twarz wznosi, ręką w górę sięga,
pewną stopą, choć senną, chwyta się kamienia,
gzemsu, szczerby i kędy skrzy się światła wstęga,
płynie wolno, podobna do wiatru westchnienia,
coraz wyżej i bliżej szczytu ostrokręga,
kędy kula się złoci odblaskiem promienia
i krzyża ramię czarne znaczy się w błękicie
w jasnym srebrnych gwiazd roju i w świateł roz-
kwicie...

Senną wargą i drżącą szeptać zacznie z cicha:
»Światło... życie... Do światła, do życia ja dążę!
Boski puhar! O, dajcie napić się z kielicha...
W górę! w górę... tam jasno! Koło światła krążę,
ale ono dalekie... Twój wiatr mnie popycha
w tę drogę, — Twoja iskra ducha mego wiąże
z Tobą, o, Królu świateł! Tyś ciągle daleki?
Kiedyż spotkam Cię wreszcie, ogarnę na wieki?...«

»W celi ciemno... O, niema Ciebie w ciemnej celi!
Krzyż na ścianie... krzyż czarny... Ty na czarnym
krzyżu?
jasna głowa na twardej, na czarnej pościeli?...
Jam płakała... Modlitwa... Łzy były w pacierzu...
Tyś wysłuchał! Zesłałeś mi anioła w bieli...
wszedł przez okno i wskazał: Tam w słońca pobliżu

Pan cię czeka... Ja idę... Nie zmyliłam drogi!
Idę — anioł mnie wiedzie w życia, w światła progi...«

Milknie i znowu senna pnie się na szczyt dachu;
już pod niebem, gdzieś w górze, świeci jej koszula
i wygląda, jak gołąb na kościelnym gmachu,
który gniazdo nad ziemią w szczerby wieży wtula,
więcej mając przed ludźmi, niż gromami strachu.
Coraz dalej już ziemia, bliżej złota kula,
nad nią krzyża ramiona, nad nim gwiazd tysiące
i promienie księżyca jasne, srebrne, drżące...

Nagle zegar zazgrzytał złowrogo w tej głuszy:
liczy dzwonem godziny ludzkiej życia drogi...
Na ten odgłos donośny mniszka się poruszy,
po spadzistej płaszczyźnie w dół się suną nogi,
krzyk straszliwej rozpaczy wybiegł gdzieś aż z duszy,
wzniosła ręce, — jak ptaszę, gdy je ołów srogi
razi, chwilę zawisła wśród nieba przeźroczy —
i jak gwiazda strącona....
Odwróciłem oczy.

NA KONIU.

Hej, skały wy moje! hej, lesie jodłowy!
hej, czyste krynice! wąwozy, parowy!
hej, koniu kochany, ty szybki jak łania,
co wicher prześciga, gdy w polu ugania! —
jam przy was szczęśliwy, radosny jak dziecię,
i dobrze mi tutaj, jak nigdzie na świecie!

Gdy konia dosiędę, ostrogą go ścisnę,
wnet w biegu szalonym na siodle zawisnę,
jak orzeł w obłokach w tumanie się kryję;
koń pędzi i ziemię kopytami ryje,
skry sypie nozdrzami, — kark bieli się pianą, —
wiatr świszcze i muska mu grzywę rozwianą;
a kiedy się przepaść roztworzy pod nogą,
koń rzuca się spięty żelazną ostrogą
i czterma kopyty zawisa nad dołem:
już przepaść przesadził, — już pędzi sokołem
wciąż naprzód, a drzewa migają przy drodze!
Hej, koniu! leć z wichrem! oto puszczam wodze!

W tym biegu szalonym — szalenie mknie życie,
krew raźniej się rusza, szybsze serca bicie,
i myśli do głowy tak cisną się tłumem,
że darmo im marzeń zabraniać rozumem!

Ach! — Sądzę, że ptakiem szybuję pod niebem,
że wicher napojem, a gromy mi chlebem —
i nagle mi w duszy ta struna zadźwięknie,
co pieśni rozlewa i kocha się w pięknie,
i czuję, jak jęczy w mej piersi szalonej,
a dźwięk jej onemu podobny, co dzwony
wydają ze srebra — do dyszla przykute,
gdy konie z wędzideł i lejców rozzute
na wiatr się rzucają z rozhukaną grzywą,
księżycem z żelaza drąc ziemię leniwą,
że niechce wraz z niemi oszaleć i pędzić,
lecz woli pyłami na szalone zrzędzić,
iż drgnąć ją zmuszają wichrowym tententem
i lecą gdzieś w przestrzeń burz ciemną odmętem...

Jak dzwonki te srebrne, tak struna ta dźwięczy,
lecz ledwo pieśń pocznie, poczętą się męczy, —
bo serce dzwonowi a myślom zaś słowa
nastarczyć nie mogą: więc mrze ich połowa,
a druga bezładna, jak tyki rozstawne
oznacza te miejsca, kędy drogi sławne

iść miały w kraj wielki... Choć dzieło rzucono,
te tyki zostały w czarne ziemi łono
wgwożdżone ku wiecznej zamiaru pamięci...
Człek obcy przechodząc z dziwem głową kręci,
bo nie wie, co ślady te znaczą zdziczałe;
lecz przyjdzie inżynier i wspomni swe śmiałe
zamysły po znakach gnijących na słocie,
i siędzie na skale lub dzikim wykrocie,
myślami w tył bieży i pełen zadumy
przypomni raz jeszcze minione rozumy
i myśli potężne, co drogi znaczyły
w tych czasach, gdy mierzył zamiarami siły — —

Ho! pędź-że mój koniu! Ho! pędź-że i ślady
zostawiaj w gwiazdziste rozsute plejady,
na gruncie jałowym, na skale, na piasku
i w cieniu ponurym i w słońca rozblasku,
i nawet tam, gdzie ich oko niedosięże
podróżnych, bo sykiem odstraszą ich węże,
królestwa tu swoje mające i moce!
O, ślady! ma myśl się o was nie kłopoce!
wszak ludziom nic po was, a duch mój was znajdzie,
za wami w ostępy i na skał wirch zajdzie,
bo wierzy, że prędzej będziecie nietknięte
na dzikich pustkowiach, niż w domach zamknięte
ogrzanych cieplarni powietrzem zatrutem! —

WRAŻEŃ!

Wrażeń! wrażeń mi dajcie! Niechaj dusza głodna
raz się wreszcie dowoli nasyci, napije,
niech szaleje, niech chyli czarę życia do dna,
niech raz powie: już dosyć! — potem grom niech
bije!

Na co czucie wydawać zdawkową monetą,
na co długą lat liczbę pić po kropli życie,
siły ciągle gasnące wskrzeszać znów podnietą,
pędzić żywot jałowy, martwy jak nie-bycie?

Raz niech całą potęgą młodzieńczej natury
wchłonę w siebie płomienne upojenie ducha,
niechaj pękną na chwilę powszednie tortury;
potem niebo niech spada, ogniem piekło bucha!

Kłamca! kłamca po trzykroć, kto powiedział kiedy,
że powolna męczarnia głodnego Tantala,
którą życiem świat nazwał, wystarcza od biedy

dla człowieka! Nieprawda! Głód mi piersi spala,
głód straszniejszy od tego, co ciało nędzarzy
w szkielet żywy zamienia: mnie głód ducha toczy!
Warga spiekła gorączką znajomych przeraża;
głową tylko kiwają, nie śmiąc pojrzeć w oczy,
i litować się raczą! Och! ja gardzę wami
tak, jak płazem się gardzi zimnym lub jaszczurką,
której dość, że pełzając między kamieniami
zjada muszki zwabione w centki barwną skórką! —

Ja chcę istnieć! lecz całą potęgą jestestwa,
wszystkich myśli wichrami, całą uczuć burzą,
zgłębić wszystkie tajniki piękności królestwa,
zmusić duchem niebiosa: niechaj się rozchmurzą!
Ale martwieć w pół-życiu i pół-świetle tylko,
czuć, że jest gdzieś kraina wszechszczęścia świetlana,
a pokrzepiać się ledwo marnych kropel kilką
spadłych w duszę przypadkiem, — o! raczej nirwana,
raczej nie czuć, nie myśleć, przestać istnieć wcale,
niż na Prometeusza zwolna konać skale!

Niech przeklęty mi będzie los ów, który stworzył
w łaskawości niezmiernej potwora-człowieka,
który w duszę mu żądzę dziką szczęścia włożył,
marę gonić mu kazał, co wiecznie ucieka!

O, przeklęty, kto pragnień roznieciwszy żary,
usta murem odgrodził od upojeń czary!

Wrażeń! wrażeń mi dajcie! — dam wam życie za to!
niech ich jednak mam tyle, ile zmieści dusza,
niechaj w pieśń mi się splotą w pioruny bogatą,
dźwięk jej każdy niech pieści i targa i wzrusza,
niech w jej słowach się pali słońce równikowe,
niech się uczuć namiętność z myślą zwiąże razem,
niech w niej drgają modlitwy i krzyki bojowe,
niech mnie wiedzie na szczyty duchowym rozkazem,
niechaj wcieli mi wszystkie dziwnych snów widzenia
niechaj pierś jak rumaka z wędzideł rozpęta,
niechaj życie nadmiarem spali upojenia:
lecz przed śmiercią niech poznam wszechogrom
istnienia!

Dusza moja, jak struna zbytnio naciągnięta,
zadrga wtedy, zajęczy, zazgrzyta i — pęknie, —
przecież głos ten ostatni hymnem zwycięstw dźwię-
knie!

WIOSNA.

Co to? co to? Tam wiosna na świecie podobno?
Ziemia budzi się ze snu, wstaje i odświeża?...
Miejskich murów zaporą otoczon żałobną
nie wiem o tem. Mnie ziemia tajemnic nie zwierza
swego życia, jak niegdyś. Słyszę tylko wieści,
a słuchając na ustach mam uśmiech boleści...

Pono drzewa pękają i zieleń się wszczyna,
pono lasy młodnieją, pono kwiaty rosną,
liściem stroi się jawór i buk i leszczyna;
łąki, łany już szatę przywdziały radosną...
Zieleń! zieleń i wiosna! Gdzież ona? nie widzę!
Wierzyć muszę, lecz płaczę i łez się nie wstydzę

Pewnie teraz po polach jest zapachu dużo:
pachną kwiaty i trawy i żywiczne drzewa,
lilje z toni jeziora wnet czoła wynurzą,
a wiatr wonie poniesie, wiatr, co wiosną miewa
oddech młodej dziewczyny. — Hej! nie przyjdzie do
nie upoi! O, smutno, smutno mi ogromnie! [mnie,

Jakiż gwar tam być musi na polach wieczorem!
Świergot ptasząt, szum lasu i pieśń wiatru cicha
i jęk trzciny, co szeptem rozmawia z jeziorem,
którego woda smętną pieśnią snów oddycha...
Jakże błogo by było słuchać! Ale darmo!
dziś mej duszy nie syci wiosna dźwięków karmą!

Jak motyle, co jeden dzień żyją i giną,
przeszły wiosny w mem życiu, — te wiosny prawdziwe,
kiedy tonią powietrza otoczony siną
kładłem ucho na łąki i westchnienia żywe
z piersi matki-przyrody łowiłem swem uchem, —
a wstawałem z łąk kwietnych potężniejszy duchem.

Przeszły, — ślady zatarte! Choć wracają maje,
chociaż zieleń powraca i kwiaty i wonie,
szmer potoków i wietrzyk, co nastraja gaje
niby lutnie, — nie wrócą te czasy, gdym skronie
nurzał w trawie i śpiewał dziecięco-radosny
z ptactwem leśnem naspoły święty chorał wiosny!

KRZAK BZU.

Był ogród wielki. Stare w nim drzewa
lubiły wieczór liściami szeptać,
liściami, które jesień pozwiewa
i ludzkie stopy w proch będą deptać;
lecz póki żywe, póki zielone,
szmer tajemniczy rozmów ich słychać.
Kiedy się słońce w zachodnią stronę
chyli, świat ciszą pocznie oddychać:
klon stary baje srebrnej topoli,
a dęby brzozom, a jodły bukom,
jak pradziadowie prawią prawnukom
o tem, co było, co w życiu boli...

Pośród drzew łąka legła zielona,
a pośród łąki bez siadł krzewisty;
nieme miał liście, lecz majem z łona
duch woni wstawał pjany, ognisty —
i opowiadał marzeń powieścią
rzeczy tajemne i fantastyczne,

złamane dziwnie w obrazy liczne,
przemienne barwą, przemienne treścią,
pełne tęsknoty, wzruszeń i strachów.

Któż pojmie słowa bzowych zapachów?
kto duszę wonią nasycić zdoła,
kto w niej obudzi kwiatów anioła
i powie pieśnią przezeń wysnutą
powieść bezładną, a przecież płynną,
gorących marzeń jadem zatrutą,
a jak myśl cichą, jak kwiat niewinną?

O, ludzie, ludzie! W duszę wierzycie,
co nie umiera i chwilą jasną
przeczuwa tajnie i przyszłe życie, —
lecz w duszę tylko swoją i własną!
O, samolubni, próżni bez miary!
nic-że nie mówią wam szumy drzewa
i kwiatów wonie i ptasząt gwary?
Wszak duch je także żywy przewiewa!

Maj był i wieczór. Pod bzowym krzakiem
wąż się prześlizgnął w trawie zygzakiem;
a skórę lśniącą miał w perły duże,
a złotą nitkę około pereł
i z liści złotych na głowie różę:

był do królewskich podobny bereł.
W woń wpełznął gęstą i w kwiatów cieniu
rozciągnął ciało słońcem leniwe,
a na zielonem nad nim sklepieniu
słowik piosenki wywodził tkliwe...
Wąż ujrzał ptaka, głód poczuł w łonie,
wzniósł w górę głowę w złotej koronie
i bystrym wzrokiem wpatrzył się w niego.
I słowik ujrzał węża lśniącego,
zdziwił się bardzo, że piękny taki,
a przecież zdrajcą zowią go ptaki —
i nie chciał wierzyć, jak czasem dziecię,
że zło i piękno razem są w świecie...
Pod czarem wzroku ptaszek omdlewał,
lecz jeszcze rzewną piosenkę śpiewał;
z listka na listek wciąż niżej zlata,
wciąż bliżej złotem lśniącego kata...
Bez pachniał ciągle, lecz w jego woni
łza była wielka, łza była dziecka,
któremu nagle w kwiatów pogoni
brata pochłonie przepaść zdradziecka.
Dziecina płacze, choć nie pojmuje
myślą nieszczęścia, lecz sercem czuje...

Maj był i wieczór. Wśród bzowej woni
dwoje ich było. W kwiecia powodzi

siedzieli razem, — piękni i młodzi, —
usta na ustach i skroń przy skroni....

Maj był i wieczór. Bez mówi wonią
o sępach, które gołębia gonią,
o gwiazdach, które konają rano,
gdy słońce głowę wzniesie świetlaną,
o kwiatach polnych i ostrej kosie,
o nocnym wichrze, wieczornej rosie,
o koralowej malin jagodzie,
którą w południe zdzióbały kawki,
o rwanych pączkach róż dla zabawki,
o muszce, którą zdeptało dziecię
i o zwiędniętym jaśminu kwiecie...

Słuchaj powieści! Bez ci opowie,
że skrzydła łamią i aniołowie;
bez ci powtórzy przysiąg tysiące
wiecznej miłości, zaklęcia wiary,
co, jak motyle w niebo lecące,
jak rzek majowych nocne opary,
wzniosły się w górę, — dzień jeden żyły,
jak liście suche jesienią zgniły.

Szept pocałunków i szczęścia śmiechy,
miłości cnoty, miłości grzechy,

nadziei tajnie, przesytu nudy,
płacz za rozwianem niebem ułudy,
złamane serce, bezczelne serce,
czyste anioły, zdradne bluźnierce:
wszystko to odczuł bez duchem kwiatu
i wszystko wonią powtarza światu.

I żyje ciągle; lecz z każdem latem
coraz się bledszym okrywa kwiatem,
łez coraz więcej przybywa woni
i liści żółtych więcej u skroni...

Nocami wiosną nad wody głębią
mgły się białawe i gęste kłębią,
a wiatr je niesie na łąki, błonie,
i w ogrodowe niesie ustronie —
na bez pachnący i stare drzewa.
A wtedy jedno morze zalewa,
spokojne, ciche, chłodne, wilgotne,
wszystkie zielenie i wszystkie kwiaty.
Mgły ciężko leżą, choć zwykle lotne,
a snów i marzeń anioł skrzydlaty
chodzi w mgle gęstej i snami sieje...
A kiedy rankiem wietrzyk powieje,
mgła bucha w niebo; łąka zielona
ku słońcu błyska snem odświeżona.

Lecz jeden obłok w bzowej gałęzi
zostaje długo jeszcze w uwięzi,
wonią się syci, powieści słucha,
do spóźnionego podobny ducha...
A kiedy wreszcie w niebo uderzy,
ospale jakoś w błękicie leży,
od braci swojej cięższy, wonniejszy
i barwą w niebie jasnem ciemniejszy,
prędzej się we łzy topi niż inne,
łzy ma mętniejsze i więcej płynne,
bardzo gorące i bardzo duże...

Gdy łez tych deszcze spadną na różę,
róża wnet więdnie i barwę traci
i smutna bywa wśród wonnej braci,
bo każda kropla nowiny nosi,
o których róża nie wie szczęśliwa,
a w których jęk się bólu odzywa
i o współczucie szczęśliwszych prosi...

O bzie, słowiku i mgle powieści
drzewo do drzewa liściem szeleści —
a wiatr podsłuchał i niesie w pola:
a brać od wiatru — to moja dola.

WIARA, NADZIEJA I MIŁOŚĆ.

Pośród grobów siedząca z marmurową twarzą,
z jasnem czołem żałobną nakrytem zasłoną,
a z ustami bez skargi, z źrenicą wzniesioną,
w której pokój, pogoda i siła się żarzą,

tym podobna, co świata pogardziwszy marą,
uciskani — niezgięci stłumili westchnienia
i dziś gardzą słabymi: ta postać z kamienia
to najdroższa z cnót wszystkich, — świat ją zowie
Wiarą.

*

Uśmiechnięta dziecina o błyszczącem oku,
rwąca kwiaty garściami bez myśli, że więdną,
i motylów pogonią żyjąca bezwzględną,
tęcze tylko widząca w burzliwym obłoku,

nie płacząca umarłych, od wieków kolei
odwrócona pamięcią a barwiąca złotem

marzeń wszystko, co przyjść ma i co będzie »po-
tem«:
to najstarsza z cnót wszystkich, — imię ma Nadziei.

*

Trzecia przy nich dziewica z tęsknotą na czole,
nad marzenie piękniejsza i większa nad życie,
do poświęceń gotowa i pragnąca skrycie
rany wszystkie zamykać, wszystkie koić bole,

krzywd pamiętać nie zdolna, błędom pobłażliwa,
zawsze cicha i wierna, bez cienia obłudy,
świat święcąca i łzami zmywająca brudy:
to największa z cnót wszystkich, — Miłość się
nazywa.

* * *

Ta marmurowa matką w dzieciństwie mi była;
na jej łonie-m spał cicho u krzyża podnóży,
cieniem jego osłonion od życiowej burzy,
a we śnie mi się bajka — ach! szczęśliwa śniła...

Z kolan matki zeszedłszy igrałem z Nadzieją,
jak ze siostrą; motyle ścigałem na łące,
rwałem bluszcze zielone i róże pachnące
i kochałem się w gwiazdach, co na niebie tleją.

Kiedy jednak mi z kwiatów cierń pozostał suchy,
kiedym poznał, że gwiazdy nie schodzą z błękitu,
wybrałem, z lat chłopięcych wychodząc przedświtu,
tę, co kocha — i święci — i podnosi duchy.

*

Miłość dla mnie dziś życiem, tętnem i oddechem —
i szczęśliwy-m z tą wierną! A jednak czasami
o tej siostrze wspominam, co siała kwiatami,
i o głosie matczynym, co był krzyżów echem...

Towarzyszka kochana utrudzone skronie
pocałunkiem ochładza, w świt prowadzi boski,
lecz przy siostrze się tylko dzieckiem nie zna troski,
żal wypłakać na matki można jedno łonie. —

NAD GROBEM PRZYJACIELA.

Towarzyszu snów złotych, drogi bracie z ducha,
gdzieżeś teraz?! Milczenie, — jeno nad mogiłą
z wiatrów jakichś gorących pędzi zawierucha,
płacząc w drodze. O, bracie! więc się tylko śniło,
że pójdziemy złączeni, ramię do ramienia,
słodząc bratnim uściskiem rozczarowań chwile,
w tę krainę, gdzie słońce czoła opromienia —
nie przyćmione i jasne, piękne w całej sile?

Przyjacielu! dlaczegoś odeszedł odemnie?
czemuś mnie pozostawił samego na drodze,
kędy błędnych manowców dyszą zewsząd ciemnie,
grożą ciernie i gady podróżnika nodze?
Czemu? powiedz! Na grobach wiatr się tylko śmieje,
darmo czekam z mogiły choć jednego słowa:
coraz w duszy mi łzawiej, coraz myśl ciemnieje:
smutno, bracie! umarła z tobą snów połowa!

Słyszysz ty mnie? O! gdybym bodaj wiedział o tem,
że twa dusza płomienna w skonania godzinie,
pogardziwszy ziemskiego ciała kruchem błotem,
wypłynęła i żyje w szczęśliwszej krainie...
Ale któż mi to powie? Nie wstają umarli;
ciało w proch się rozsypie, — a czy dusza była?
Ludzie wiarę dziecinną z piersi mi wydarli:
tak, jak piękno wszelakie, prędko się prześniła...

Jeśli jednak ty żyjesz gdzieś w podniebnym szlaku,
żyjesz wolny, szczęśliwy, w jasnych gwiazd orszaku, —
czy cię ziemskie wspomnienia czasem nie uwodzą,
czy twe myśli w promieniach księżyca nie schodzą
tęskne, ciche, na miejsca, gdzieśmy żyli razem?
Mnie się zdaje, że duch twój w noce księżycowe
idzie usiąść nad zimnym grobu twego głazem,
że tam duma, łzy roniąc tęsknoty perłowe,
rozczulony tych zamków z kryształu obrazem,
któreśmy niegdyś twórczą fantazją stawiali
na młodzieńczych, ognistych dusz burzliwej fali.

Tyś mnie jeden rozumiał w całem świata kole,
tyś się nie śmiał, słuchając dziwnych snów natłoku,
boś tak samo miał skrzydła u myśli sokole
i tęsknotę i wieczną łunę pragnień w oku!...

Dosyć jęku! Tyś teraz odemnie szczęśliwszy!
Śmierć cię miękko jak dziecię do snu utuliwszy,
ułożyła pod darnią zieloną kurhanu;
żadna burza ci duszy nie gryzie, nie miota,
a jeżeli jęk dojdzie z ojczystego łanu,
to tak cichy, lękliwy, jak dziewic tęsknota.
Śpij więc cicho, spokojnie! Jeśli tam w istocie
pod tym krzyżem kamiennym, pod tym kwietnym sadem
jesteś żywy w tem próchnie gnijącem i błocie,
które dziś już jedynym twym widomym śladem...

ŚMIERĆ W OGRODZIE.

Na kwietną błoń
szedł śmierci duch.
W sierp zbrojna dłoń
rozwieje w puch
piękności kwiat
i uczuć liść —
i pusty świat
w grób musi iść!
Po kolei
bez nadziei
umrzeć muszą
z wonną duszą
wszystkie kwiaty;
niech bogaty
w barwy, wonie
wieniec skronie
ducha wieńczy,
który dźwięczy
śmierci kosą!

Wichry wieczorne ducha w ogród niosą.
Kędy lilija
listki rozwija
i barwą czystości rozkwita,
duch staje i pyta:
»Czy nie żal ci umrzeć, o, kwiecie?«
Wieczornych ros dziecię,
lilija przeczysta i blada
z uśmiechem powiada:
»Żyłam czysta jak krynica,
jak dziecinne łzy,
nie splamiłam nigdy lica,
święte moje sny!
W niebo patrząc cicho żyłam,
ja siostrzyca gwiazd,
czysta byłam, święta byłam,
choć wokoło chwast!
Ciche życie, piękne życie, —
lecz gdy trzeba już
dziś umierać w dni rozkwicie:
sierp na szyi złóż!«
Anioł zerwał lilijkę, a łzę miał na oku,
gdy ją składał na wonnym, na srebrnym obłoku.

Tam róża rozkwita czerwona,
a wonna jej kwiatu korona,

i pieśni słowicze dokoła,
i motyl jej igra u czoła,
i słońce ją pieści, różuje,
i księżyc nocami całuje...
Duch śmierci przychodzi i pyta:
»Gdy szczęście ci z oka wykwita,
czy nie żal ci umrzeć, o, kwiecie?«
Majowych poranków to dziecię
namiętnym mu szeptem powiada:
»Niech lilja blada
żałuje życia,
która z powicia
i z ziemi łona
wyrosła zimna i zimna skona!
Ja w szczęściu żyłam
i miłość piłam;
kochałam wiele — wiele kochana,
więc błogosławię wszechtworów Pana,
że mi dał żywot taki szczęśliwy!
Po cóż mam czekać, aż wiatr mroźliwy
urodę zniszczy, spędzi motyle?
O, ja nie szemram na śmierci chwilę!«
Anioł zerwał różyczkę — a łzę miał na oku,
gdy ją składał na miękkim, słonecznym obłoku.

W ogrodowej cieplarni

pośród grządek bez darni
kaktus rośnie kolczaty i krzywy;
słońce widzi przez szyby,
niby żyje, a niby
sen to tylko ma ciężki, że żywy.
Anioł śmierci przychodzi i pyta:
»Zamorski kwiecie,
brevis vita
a źle na świecie;
chcesz-li iść do mnie? śmierć cię wybawi!«
A kaktus zadrżał i gorzko prawi:
»Na pustyni, na Saharze
bracia żyją w słońc pożarze,
wśród gorących wichrów wrzasku,
na gorącym, żółtym piasku
i szczęśliwi!
Mnie co żywi?
W obcej ziemi żywot pędzę,
szczęścia nie znam, jeno nędzę!
Mojej woni
wiatr nie zgoni
na pustynie!
Ona zginie
pokryjomu
tu w tym domu!
Moim sokiem

Arab, który
błędnem okiem
darmo chmury
szuka w niebie
nie pokrzepi
konia, siebie!
Ach! tam lepiej, na pustyni lepiej!
Ach! moja woń — tu ludzi odurza
i gałąź ma — tu ludzi kaleczy,
szczęśliwsze są lilija i róża,
choć tej co ja nie mają tu pieczy.
Straszne życie, męka sama!
lecz, aniele, śmierci brama
bojaźń budzi w mojem łonie,
więc żyć dozwól — choć w wazonie...«
Anioł kaktus podeptał i rzucił do piekła,
a z lic mu boskich litość wszystka precz uciekła.

GDZIE SIĘ TO WSZYSTKO PODZIAŁO?

Nie wiem, gdzie się to wszystko podziało, — o, nie
wiem!
i te łzy, i ta boleść, smutki i rozpacze
i ta miłość, co niegdyś paliła zarzewiem
młodą duszę — — o! gdzie się podziało, ja nie
wiem!
Śmiechu nigdy nie znałem, dziś nawet nie płaczę —
i tylko tęskni jeszcze me serce tułacze,
tęskni tylko i modlić by się jeszcze chciało,
lecz już późno, — modlitwy słów już zapomniało...

Mgła się snuje, mgła ciężka i sina i głucha —
wszystko, wszystko pokrywa wilgotna i blada!
Darmo dusza w niej tęskni, darmo głosu słucha;
nic nie słychać — i cisza wkoło taka głucha,
że już senność przedśmiertna na duszę opada,
że już zbywa swych skrzydeł i już zasnąć rada...
Spać — — o! spać chcę na wieki, bez czucia i mary,
spać, jak kamień w pustkowiu, mchem pokryty, szary!

ZAPOMNIAŁEM...

Jakaś piosnka w mem sercu rodzi się i dzwoni;
ale kiedy ją chwycić i napisać chciałem,
słowa odbiegły, pióro wypadło mi z dłoni
i już zapomniałem...

Jakieś usta nademną schylały się lube,
ale nim pocałunków rozkoszy zaznałem,
znikły, — darmo pragnąłbym dziś odzyskać zgubę —
i już zapomniałem...

Gdzieś na drodze królewnę spotkałem zaklętą;
ukląkłem, ale nim usty miłość jej wyznałem,
poszła cicho odemnie w świat drożyną krętą —
i już zapomniałem...

Niegdyś matka nabożnej uczyła modlitwy:
długo, długo jej słodkie wyrazy szeptałem,
wreszcie słowa straciłem śród życia gonitwy —
i już zapomniałem...

PROŚBA.

Połóż dłonie na mem czole, połóż dłonie dziewczyno, połóż chłodne swe dłonie!
Ogień żre mię, ogień pali, ogień czaszkę rozsadza, ogień piecze me skronie!
Ty się zlituj, ty się zlituj, ty miej litość nademną, ty mnie uzdrów rąk cieniem!
przygaś żary dłonią z lodu, przygaś żary swą dłonią i swych oczu spojrzeniem!
Niech pierś moja, wulkan żywy, zgaśnie wreszcie i zcichnie, niechaj skier już nie rzuca!
niechaj w mózgu nie wrą myśli, niechaj nie wrą szalone i niech stygną me płuca!
Tyś jest jedna, ty jedyna, która-ś zdolna to zrobić, pierś ochłódzić spokojem!
więc to uczyń, a więc uczyń, więc mię uśpij chłodzącym zapomnienia napojem!
Na kolana weź mą głowę, na swe białe kolana — niechaj na nich odpocznę;
niech zapomnę, niechaj marzę, snując myśli spokojne, chłodne, ciche i mroczne...

A gdy oczy me otworzę, gdy otworzę swe oczy,
pierś twą białą niech widzę,
jak kwiat lilji nad mem czołem, jak kwiat lilji schylony i na wątłej łodydze — — —
Rzymską lampę, lampę dawną, lampę grobów podziemnych postaw obok na stole,
niechaj blask jej wątły, mdławy, niechaj blask jej się leje, niech mi igra po czole,
niech całuje czoło zimne, niechaj pieści me skronie chłodne, ciche, bez wieńca, —
a gdy żywiej błyśnie czasem, a gdy błyśnie znów żywiej, barwiąc cieniem rumieńca
lica moje już stygnące, pomyśl: Trup ten wciąż jeszcze czuje, jeszcze mię kocha, —
i miej litość nad tym trupem, — nie kładź w ziemię, bo ziemia była jemu — macocha!

DO NOCY TĘSKNIĘ...

»Do nocy tęsknię, do srebrnego cienia«,
do ciszy tęsknię wielkiej i bezdennej,
której nie mąci nawet szept marzenia.

Nie chcę mieć żadnej nad oknem promiennej
gwiazdy, ni blasków błękitnych księżyca,
ani melodji cichych wiatrów sennej,

ni szeptu, który jasna śle krynica,
ni ros perlistych, ni różowej woni —
nic, co rozmarza, poi, lub zachwyca.

Niechaj mnie głusza, niech mnie noc osłoni,
niech na zmrużone powieki osiądzie
i całun zwinie dokoła mych skroni,

i niech już zawsze, zawsze niech tak będzie...

NAD GRUZAMI.

Ha, myśliciele! wy walić umiecie!
Prawdy, co wczoraj niewzruszone były,
dziś się w bezkształtne rozpadają bryły;
jutro wieść o nich już zaginie w świecie!

Biada stworzeniu, co pod dachem kruchym
stawiło skarby swoje i ogniska,
wierząc stuletniej potędze zamczyska,
które się jutro z jękiem zwali głuchym!

Biada gołębim tam u szczytu gniazdom!
W proch jutro padną razem z wieżą dumną,
razem z złoconą krzyżową kolumną,
co wczoraj blaskiem urągała gwiazdom!

Aby żyć można bez wiecznego strachu,
kretem być trzeba pod powierzchnią ziemi,
oślepnąć, chodzić drogami czarnemi
i słońca nie znać ani świątyń gmachu!

Ha! albo orłem! Wzbić się ponad wieże
i z góry patrzeć na zniszczenia ślady,
na konające pośród gruzów gady
i konające wśród gruzów rycerze!

Bez odpoczynku i bez pokrzepienia
tak się pod niebem orlim ważyć lotem
i gardzić świątyń walących się grzmotem,
i gardzić ziemią, co wiecznie się zmienia!

A kiedy w skrzydłach już nie stanie mocy,
orzeł samotny, który żył bez gniazda,
upadnie z nieba, jak strącona gwiazda,
na łono gruzów, zapomnień i nocy...

»Z CZARY MŁODOŚCI«.

Niektórzy czarę życia cisną do ust długo,
a młodzieńczych »upojeń« rozkoszne ułudy
w serce, w duszę wciągają srebrną pieśni strugą,
gdy zaś na dnie się »męty« odnajdą i brudy,
umieją »pojednaniem« pozabliźniać rany...

Jam swą czarę wziął w ręce — ach! — dziecinne
prawie!
I namiętnie-m się rzucił pić sok z niej czerpany,
i upiłem się rychło, i śniłem na jawie
słońce w niebie bez chmury i wicher na morzu,
koni tabun na stepie i płonące puszcze,
gromy grzmiące na czarnem chmur wilgotnych łożu
i dłoń anioła, która znojne czoło muszcze.
Nie wiem, było-ż w mej czarze nie dość czyste
wino,
czy-lim nadto ją szybko wychylił aż do dna:
dziś upojeń zachwyty w gąszczu mętów giną
a dusza moja ciągle głodna, głodna, głodna!

Sen jam jeden miał tylko, potężny lecz krótki.
Błysnął, zagrzmiał i przepadł w przestworzach bez
chory-m z niego się zbudził na bole i smutki, [końca;
na długie, blade, mgliste dnie bez blasku słońca.

Mętów dużo w puharze i długo je piję,
myśl już od nich zgorzkniała i zatruta dusza —
a wciąż jeszcze wąż jadu do ust mi się wije,
pali piersi gorączką i czaszkę wysusza!

Czasem chciałbym roztrzaskać ową czaszę złotą,
o gruz rzucić, o skałę, w proch i pył i w błoto,
ale koło jej brzegów owiązane palce
tak się zgięły kurczowo, że jej puścić nie chcą,
a ze środka wstające zwątpienia padalce
tak me usta spieczone ślizkiem ciałem łechcą,
że mi trudno się rozstać z trucizną i jadem
i z obliczem potworu w złotej czaszy bladem!

O! mnie nie żal tej czary wystygłej i próżnej
soków, które by czyste upojenie dały,
próżnej soków, co życie by mi świeże wlały,
ale nie chcę, by świat mi był choć kroplą dłużny
wszystkich cierpień, co fatum w mój kielich wło-
żyło, —
nie chcę od nich spokojną bronić się mogiłą!

Kiedy obłęd już myśl mą do reszty omami
i po kropli ostatniej czara będzie pusta,
brzeg jej wtedy wściekłemi pokąsam zębami,
potem własne rozgryzę i rozkrwawię usta,
krwi swej w czarę nasączę i krew swą wypiję,
bom spragniony i głodny dopóki tu żyję!

Z CZARNEJ CHWILI.

Wszakże chłodno, wszak niema w powietrzu gorąca,
czemuż duszno mi jakoś? Jakiż żar mnie pali?
Spiekłe usta, krew ogni się w żyłach tętniąca,
mózg mi gryzie podobna do piekielnej fali.

Ty mi mówisz, żem chory? Tak! chory-m, dziewczyno!
a choroba nie zginie, póki myśli płyną.

Dziwną losów igraszką, co jad dała w kwiecie,
barwną skórę u płaza, jam zrodzon na ziemi;
ani sobie potrzebny, ni ludziom na świecie,
jedną drogą z liściami w grób pójdę zeschłemi.

O, zwiędłe liście! smutne mego życia godło!
i was niegdyś wiosenne słońce w błękit wiodło!

Bezpłodny jestem dzisiaj, jak odarte z liści
suche drzewo — i w przyszłość patrzę blady smutkiem,

bo już widzę, że żaden czyn się w niej nie ziści,
że mi broni nie staje, aby walczyć z skutkiem.

Mógłbym, mógłbym uczuciem świat przepalić stary,
lecz siła zwycięstw nie da, gdy niema w nie wiary.

Dlaczego wiary niema? — pytaj lat tych schyłku,
które rodzą olbrzymy z duchem godnym karła
i karły ciałem o wrącym myśli wysiłku.

Nim myśl ta sił dobędzie, zimą już umarła,
pogrzebana, podobna do złotego pyłku,
w który burza posągi wolności roztarła...

Człowiek mówi: ja żyję! czuję siły jeszcze!
w piersi gorą natchnienia, w ustach słowa wieszcze.
Ale kłamie: już duszę drą mu zwątpień kleszcze.

Chore moje słowa,
niezwiązana i dzika pieśni mej budowa;
ludzie śmiać się z niej będą, lub łzą krokodyla
płakać jmą poety.

Była jedna chwila,
kiedy w duszy mi grzmiała gromka pieśń podniety;

przeszła — zmarła — jak piękność mija u kobiety!
dzisiaj pieśń grobowa...

Ta złowroga moja nuta
z zawiedzionych snów wysnuta.

Przyjdą chwile, że znowu światu kłamać będę
wiarą w przyszłość jasną,
lecz nim w ciało ubiorę tę chwilę-przybłędę,
myśli znów zagasną.

Słuchaj! Gdybym potrafił tak, jak inni ludzie,
mówić sercu: tyś zwiędłe! kładź się w grobu cieśni!
Co ci, serce, po walkach? Myśli! co po trudzie?
w bezczynności się życie tak spokojnie prześni...
Nie masz siły? — rzuć marzeń bezowocne loty,
ciśnij lutnię do piekła, zdław szalone pieśni;
grób pokropić ci wolno czułą łzą tęsknoty...

Nie! — nie umiem! Niech piekłem będzie dla mnie [życie,
niechaj niebo pęka,
niechaj umrę szalony w młodych dni rozkwicie, —
ja chcę pieśni! Chcę czynu!...

Straszna, straszna męka!
Nie chcę sam się w grób składać,
nie chcę nad własną trumną *Requiescat* gadać!

Gdy mi gromy rozmiażdżą marzycielską głowę,
niech nad trumną przyznają, żem ja walczył z niemi,
żem dobrowolnie czoła nie złożył na ziemi,
żem o litość nie błagał ustami drżącemi...

Czynu! czynu! Za czyny dam życia połowę!

Gdzie ich szukać? Ptak jeden uwięziony w klatce
chciał ulecieć pod niebo. Drzwi miał otworzone,
lecz drzwi były u dołu, on na górnej kratce
siedział smutny...

Nic nie wiem! myśli mam zamglone,
fantastyczną chorobą piersi roztoczone...

Kiedyś Bóg mnie zapyta: Co-ś robił na świecie?—
Ja zamilknę — i wieki milczeć będą w górze.
Wtedy Bóg na tronowej siedzący purpurze
rzeknie: Uczucia dałem ci morze,
tyś je zmarnił! — I w otchłań piekielną mnie zmie-
cie...

Czemu-ś mi drogi nie wskazał, Boże?

Dusza moja wrażenia chciwie w siebie chłonie,
lecz wrażenia padają gdzieś w bezdenne tonie, —

im ich więcej, tem więcej dusza moja łaknie;
czemże żywić się będzie, gdy wrażeń zabraknie?

Marność, marność! Wrażenia duszę rozpychają,
chcą ulecieć na światy, a drogi nie znają!

Blade, bezdźwięczne słowa,
myśli w nich kona połowa!

Dawniej ludzie ze sercem chorem tak, jak moje,
w hełmie błędnych rycerzy szli na dziwne boje,
myśl ich gnała po światach nowych i nieznanych;
dzisiaj świat ich zamyka — w domu obłąkanych!

Straszna choroba w mózgu się rozwija;
kędyż lekarstwo, które ją zabija?

Rwij się struno! Dźwięk twój głuchy
samobójcze budzi duchy!

Nad grobem moim rzekną przyjaciele:
Zdolny był to młodzieniec i mógł zdziałać wiele,
ale wypadki i okoliczności,
los, — i tak dalej! Znacie pogrzebowe mowy?
niema w nich nowości!

Ziemią przysypią szaleńca kości,
w nocy przyjdzie urągać szyderczy krzyk sowy,

a gdy fijołki rozkwitną wiosną,
pokrzywy kwiecie przerosną...

Minie lato — i trumnę złamie brył ciśnienie,
a na grobie zapadłym siędzie:
Zapomnienie!

DZWONY.

Płyną, płyną kędyś z dali,
na srebrzystej, dźwięcznej fali
dzwonów duchy, dzwonów głosy;
jęki, płacze i modlitwy
idą razem, jak do bitwy —,
a zdobywać chcą — niebiosy! —

I wołają: módl się, człecze,
nim głos srebrny w dal uciecze;
módl się, módl się — a my z sobą,
z dźwiękiem naszym, z pieśnią świętą
łzy twe weźmiem, niepoczętą
Dobroć kusić ich żałobą!

Gdy co prosić masz — uprosim,
masz-li skargi — pozanosim
wszystkie przed tron boży w niebie,
chcesz dziękować — dziękuj szczerze,
a chcesz płakać — mów pacierze
za umarłych, czy za siebie...

Weźcież, weźcież z sobą, dzwony,
żal mój wielki — niezgojony,
żal za wszystkiem, co przepada,
co przepada — a nie wróci;
proścież Boga, niechaj skróci
śmierć dni moje — śmierć ta blada...

Wszędy w koło same groby
i łzy same, kir żałoby, —
a pod kirem młodość leży,
świat, marzenia, szczęście, wiara,
a nad grobem życia mara
opłakuje grób ten świeży.

Dzwony, dzwony, mówcież przecie,
że mogiła ta na świecie
duszę rani, serce wierci,
że wciąż świeża — nie zasycha,
i że duch mój jeno wzdycha
do pokoju i do śmierci...

O TRZECIEJ DOBIE.

— — a o trzeciej dobie
zstąpił więc Anioł do ciemnej pieczary
i dotknął ręką leżącego w grobie
i rzekł mu: Powstań! — dopełnić ofiary! —

A On jak dziecię, co się ze snu budzi,
niechętne, że mu marzenia przerwano,
westchnął i zwolna wstawał, by do ludzi
iść znów i spełniać, co mu nakazano.

A kiedy Anioł głaz odwalił z grobu
i jasne słońce do czeluści wpadło
powstał i wyszedł z kamiennego żłobu
w chustach śmiertelnych i z twarzą pobladłą.

I na świat patrzył jeszcze nawpół senny,
i taki smutny szedł w blask słońca złoty,
jak kiedy w cierniach i krzyżem brzemienny
śród wrzasków tłumu szedł na szczyt Golgoty.

W PROSEKTORJUM.

Sala wielka i chłodna. Okna lśnią wysoko
śmigłe, wązkie, ostremi sklepione łukami, —
szyby w ołów oprawne. Jasne słońca oko,
błądząc długo pomiędzy winem i bluszczami,
padło wreszcie do środka. Złote, drżące płaty
rzuca w koło niepewne; cofnąć by się chciało,
wrócić znowu pomiędzy drzewa, zieleń, kwiaty, —
bo tak strasznie tu wewnątrz, że słońce zadrżało.

Wszędzie stoły i trupy. Zimne, nagie ciała,
usta strasznie rozwarte i rozwarte oczy:
słońce piersi dotyka — pierś twarda jak skała,
pojrzy w oko — i krzepnie jak w lodu przeźroczy,
włosa szuka — lecz w czaszce gładko wygolonej
siebie tylko zoczyło, — zlękło się zwierciadła,
więc coprędzej w obłoków skryło się zasłony
i posępność znów większa w chłodną salę wpadła.

Ale trupy nie same. Pośród ciał i kości
mnóstwo młodych, żyjących, gdyby kruków stada,

zwłoki zewsząd otacza. Bez cienia litości
zgraja noże błyszczące w nagie ciała wkłada,
dziewic łona otwiera, starcom czaszki łupie, —
serca, mózgi bezczelnie na zewnątrz dobywa.
Uczuć, myśli siedliska dziś w bezładnej kupie
gnijąc leżą na ziemi i pył je okrywa.

Ciała w grobach złożone, spokojne i blade,
urok śmierci otacza; pełne majestatu
zakrywają przed widzem śmiertelną szkaradę, —
budząc cześć i zadumę, wierzyć każą światu,
że za grobem jest jakaś tajemna kraina;
te zaś w prochu zhańbione i ciała i kości
przestrach tylko wzbudzają i człowiek wspomina
mimowoli o czarnej i wiecznej nicości...

Pocóż lotem bić w gwiazdy, na co życia wiry,
na co piękność i szczęście i rozum i sława,
i co z pieśni, co z dźwięku rozżalonej liry,
po co szaleć i cierpieć, na co praca krwawa,
na co myśli, co ssają krew, gdyby wampiry:
jeśli końcem istnienia zgnilizna plugawa,
jeśli śmierć nas przemieni w marną garstkę błota,
jeśli wieczność — niestety — tylko bajka złota?

SEN ZIMOWY.

Nie lubię wiosny, — wolę jesień.
Wiosna obiecuje wiele rzeczy miłych, których dotrzymać nie może;
nęci kwiatami i mówi: zawsze będą świeże;
nęci ustami dziewczęcia, mówiąc: wiecznie będą całowały;
podnieca ducha młodego, wołając: nie osłabniesz nigdy!
Tymczasem kwiaty więdną, dziewczę odbiega i młodość się kończy...
Ciernie z kwiatów, ból po miłości, i wielki żal za minionemi marzeniami młodości zostają...
Nie chcę wiosny!
wolę jesień pogodną, kiedy słońce świeci jasno, a nie pali, —
zeschłe liście lecą z drzew i wiatr szumi wołając:
już koniec! już koniec!
Wszystko zamiera, a ja czuję, że potęga młodości jeszcze we mnie nie zgasła, —

czuję, że zdołałbym nią świat na nowo ożywić —
ale nie chcę.
Więc zdaje mi się, że i ja jestem po części sprawcą
tego zniszczenia kwiatów
i rozkoszuję się tą myślą... i konam z nią...
Mógłbym siebie ożywić — ale nie chcę — i lubo
mi, gdy myślę,
że z własnej woli razem ze światem w sen zimowy
zapadam...
Biorę w dłoń zeschłe liście i myślę, że były nie-
gdyś zielone — dziś suche;
biorę w dłoń włosy moje i dziwno mi, że ciągle
czarne i bujne,
że osiwieć nie chcą — choć mnie pilno zasnąć...

W BORU.

Pójdę, pójdę na góry, gdzie zdala od ludzi
drzemią ciche, tajemne, śniegiem białe puszcze;
gdzie po jodłach wiatr stąpa i tak jodły muszcze,
że się w drzewach serdeczna jakaś struna budzi —
i las cały, jak harfa nastrojona smutnie,
z wiatrem gada i płacze, skarży się i szumi,
łka i jęczy i wzdycha — i westchnienia tłumi,
rozpieśniając poważne a spokojne lutnie,
grając hymny, od których drga człowiecza dusza,
jakby struną wwiązaną w tę harmonję była
i wraz z drzewin strunami do pieśni ożyła,
kiedy wiatr je wieczorny palcem mistrza rusza...
Słońce zaszło i łuna pali się nad borem,
naprzód jasna, różowa — coraz krwawsza potem,
i ciemniejsza i szersza, haftowana złotem,
ogniem drżąca, świecąca rubinu kolorem
i gasnąca powoli, jak węgiel w popiele...
Śnieg sinieje i mrok się coraz gęstszy ściele.
Niebo ciemne, i góry barwę fijoletu

biorą na się — i tylko z Alp lodowych grzbietu
iskier kilka czerwonych jeszcze w niebo wzlata:
to ostatnie słoneczne pożegnanie świata.
Wkrótce zgaśnie — i ciemno już na ziemi będzie,
ciemno w niebie i w lasach, na górach — i wszę-
dzie...
Wicher pieśń już zakończył i tylko wspomnieniem
jeszcze mruczy i w jodeł gałęziach szeleści,
śnieg strząsając, — a śnieg on, jakby łzy boleści,
spada cicho i ginie. Jeszcze raz westchnieniem
poruszyło się ciemnej puszczy łono śnieżne —
a westchnienie to było straszne i bezbrzeżne,
tchnące wielką rozpaczą i żałością rzewną,
i szerokie i ciężkie — i ostatnie pewno...
Teraz cicho... Śpi wszystko zimne i bez ruchu.
Gwiazdy w górze migocą; lecz na śnieżnym puchu
tu pod jodeł sklepieniem, ledwo promień wpadnie,
zadrży, zećmi się, skrzepnie i zaraz pobladnie,
bo w tej ciszy, w tym cieniu, w głuszy tej bez-
dennej
śmierć jest nawet dla gwiazdy jasnej i promiennej...
O, o! dobrze mi teraz! teraz mi już błogo!
Teraz marzyć mi wolno, póki myśl zmrożona
nie zastygnie, jak światło gwiazd i w ciszy skona!
O, o! dobrze mi tutaj! tutaj nikt już nogą
nie nadepce mi serca, ani mej mogiły

w śniegu białej nie zgniecie; ach! sen będzie miły!
Spać tak będę na śniegu, na lodzie, wśród boru,
pośród ciszy i chłodu, w bladych gwiazd promieniu,
a gdy księżyc dwurogi na niebios sklepieniu
błyśnie srebrny i spojrzy z błękitów przestworu
i obaczy mnie cichym — i obudzić zechce
tym promieniem, co twarze śpiących lekko łechce
i sny daje im takie, że się ze snów budzą,
jodły bronić mnie będą, szepcąc do księżyca:
»Daj mu pokój! nie tykaj zamarzłego lica,
»dozwól spać mu bez marzeń, bo marzenia trudzą,
»a on smutny, zmęczony był, gdy się położył...
»Ach! tak smutny, że duch w nas przez współczucie ożył
»i śpiewały my wszystkie jemu pieśń grobową,
»i szumiały my wszystkie tak nad jego głową,
»że sen zmorzył go ciężki, wielki, nieprzespany...«
O tak! dajcie mi spocząć! Niech zakrzepłe rany
krwi serdecznej nie sączą, — niechaj już zapomnę,
że są ludzie i światy i nieba ogromne,
wszystko piękno i urok, i wiosny i wonie,
wszystko, wszystko prócz serca, serca w ludzkiem łonie!...

MOJA PIOSNKA.

Piosnko moja! cóż to tobie?
narodzona ledwo wczora,
dumasz dzisiaj już o grobie;
płakać tylkoś ciągle skora?

Śmiej się piosnko, śmiej się przecie!
popatrz: świat się śmieje cały,
pachną zioła, pachnie kwiecie,
bluszcz zieleni martwe skały...

Śmiej się piosnko! śmiej koniecznie!
wszakże ludzie śmiechu pragną!
Cóż ty? myślisz płacząc wiecznie,
że się do twej nuty nagną?

Groby stroić — to zawcześnie,
młoda-ś jeszcze, piosnko moja;
ran odwiecznych zdzierać pleśnie —
na co? po co? rzecz nie twoja!

Piosnka mówi:

Jam młoda, lecz widziałam wiele!
więcej bólu niż szczęścia, więcej łez niż śmiechu:
wielkie miasta widziałam leżące w popiele,
wielkie płuca, dla których brakło już oddechu
i wielkie zbrodnie w sercach potężnych ukryte,
wielkie węże widziałam w zwalonym kościele
i znaki wczesnej śmierci w młodych czołach ryte.

Widziałam więcej: Palmy sadzone na śniegu
i lotosy na rzeki lodem ściętej brzegu,
orły z skrzydłem bez pierza, tygrysy w okowach,
myśli wielkie i jasne konające w słowach;
widziałam ryby w piasku, jaskółki w piwnicy,
niewinne gołębice w pazurach łasicy
i zające jesienią kulawe i chore,
wilki chlebem żyjące, kozice w równinach,
i w cieplarniach jałowce, i lilje w kominach,
i na gładkich kamieniach ziarna rosnąć skore,
i bez pokarmu w zgliszczach gasnące płomienie,
i wyschłe w dzień upału letniego strumienie,
i słowiki niemotą dotknięte przed majem,
i pelikany mrące nad suchym ruczajem.

O tak! Szłam przez to piekło, jak Danta straszliwe,
lecz nie zbrodnicze, jeno bardzo nieszczęśliwe...

O, kiedyż łza miłości w ciemne piekło spadnie,
kiedyż zbawi jęczące potępieńce na dnie?

Straszne piekło! A przecież zeszłam głębiej jeszcze
i widziałam rozpaczy najczarniejszej dreszcze!
Widziałam syny z głodu zjadające ciało
matki, które ich na świat z miłości wydało;
zobaczyłam dojrzałe kobiety niepłodne,
całe życie spragnione, pieszczót dzieci głodne;
zobaczyłam na pustych ostrowach dziewice,
którym serca paliły miłości tęsknice
i widziałam, jak bladły z pragnienia i żalu,
a nie było nikogo, by w usta z koralu
pocałunkiem tchnął życie, — więc gasły powoli,
bo wiedziały, że niemasz końca ich niedoli...
Widziałam dzieci, które wyrosły bez matek,
smutne, — dzikie, — zbrodnicze potem na ostatek;
anioły z nędzy wielkiej przedające ciała,
starce, którym się młodość świetna zmarnowała —
i człowieka, co wiecznie w jasne dążył słońca,
a z ciemności wyjść nie mógł i błądził bez końca...

O! widziałam, widziałam, to wszystko widziałam!
Wszystkie bóle w swe serce, w duszę swoją brałam,
i dziś, młoda latami, jam cierpieniem stara!
Już zagasa powoli w nucie mojej wiara

i nadzieja przyszłości coraz więcej blednie,
tylko trzecia z tej trójcy, świętsza niż poprzednie,
miłość jeszcze się żarzy większa niźli kiedy...
zakochana w otchłani bólu, nieszczęść, biedy!
Nie ta miłość, co w róże przystraja się rada,
ale której na czole napisano: biada!
która przez to w zwątpieniu, że wątpiących kocha,
przez to biedna, że razem z nieszczęśliwym szlocha!
O! nie kwiaty są dla niej, lecz wieniec cierniowy,
o! nie ramion uściski, lecz cierpień okowy,
o! nie w niebie jej mieszkać, ale żyć w otchłani,
bo tam zeszła, jak niegdyś owa jasna pani,
anielica Eloe, która pokochała
księcia bólu i cieniów...
Ty chcesz, bym się śmiała?

MODLITWA.

Nie wiem, gdzie jesteś i co-ś zacz, o Boże,
nie wiem, czy prośba do Ciebie dopłynie,
czy, jak pieniądz w bezdenne upuszczony morze,
w próżni ponad gwiazdami zbłąka się i zginie.

Nie wiem, czy prośba do Ciebie dopłynie,
czy też Cię darmo szukając w obłoku,
w próżni ponad gwiazdami zbłąka się i zginie?...
jednak prośbę ślę w górę, a ślę ze łzą w oku.

Może Cię darmo szukając w obłoku,
choć tęsknym serca krzykiem ulżę sobie?
Oto prośbę ślę w górę, a ślę ze łzą w oku,
bo mi życie tu ciężkie i smutne jak w grobie!

Choć tęsknym serca krzykiem ulżę sobie:
daj-że pociechy, Istoto przedwieczna,
bo mi życie tu ciężkie i smutne jak w grobie, —
wszystkie światła pożarła mgły opona mleczna...

Daj-że pociechy, Istoto przedwieczna,
daj mi spokoju wielkiego i ciszy;
wszystkie światła pożarła mgły opona mleczna,
rzuć więc także na duszę głuchy kaptur mniszy.

Daj mi spokoju wielkiego i ciszy!
Szczęście ukryłeś w gęstej chmurze czarnej,
rzuć więc także na duszę głuchy kaptur mniszy,
niech się nie rwie do walki bez zwycięstwa marnej.

Szczęście ukryłeś w gęstej chmurze czarnej,
zabij więc także żądzę szczęścia w sercu;
niech się nie rwie do walki bez zwycięstwa marnej,
gdy mu z szczęściem nie stanąć na ślubnym kobiercu.

Zabij więc także żądzę szczęścia w sercu,
bo jest zgorzkniałe i martwe i cudze,
gdy mu z szczęściem nie stanąć na ślubnym kobiercu,
ani wolno mu w światła ukąpać się strudze!

Serce zgorzkniałe i martwe i cudze
nie wie, gdzie jesteś i coś zacz, o Boże:
gdy nie wolno mu w światła ukąpać się strudze,
pragnie zginąć, jak pieniądz upuszczony w morze...

PO DRODZE.

1904—1906.

WIERSZ WSTĘPNY.

Chociaż ja tęsknię za tobą — cóż tobie?...
Możesz nie zważać, możesz żyć spokojnie:
ani ja pójdę polec gdzieś na wojnie,
ani ukryję swej tęsknoty w grobie!...

Nie będę pieśni pod twem oknem składał,
na krzyż przysięgał ani na puginał,
nie będę prosił, błagał ni przeklinał, —
nawet nie będę się skarżył ni biadał.

Pójdę, jak dotąd, swoją drogą błędną —
gonić wieczyście sen, którego niema
i mimochodem rękoma obiema
rwać kwiaty smutne, co mi w dłoniach więdną.

I tylko czasem coś tam w sercu może
załka: żal jakiś — spóźniony —, baśń złota,
że mogło szczęście być, a jest tęsknota...
— Mogłeś dać szczęście, a ból dałeś, Boże! —

Lecz cóż ci o to? Nie skryję się w grobie
ani też pójdę polec gdzieś na wojnie, —
będę żył dalej, jak dotąd, spokojnie —,
a że tak tęsknię za tobą? — cóż tobie! —

O KRÓLEWICU-JUNAKU

Królewic mówi:

Czyś to ty? — — czy ty? — — —
dziwów pani i cudów,
przez lata długie oczekiwana,
po świata końcach szukana
wśród znojów
i bojów
i trudów, —
której wołały moje złote sny
i oszalała ta moja tęsknota,
co mi mówiła, że na Szklanej Górze
czekasz — płacząca — w królewskiej purpurze
na mnie, swojego junaka —, ty złota?...

Na Szklanej Góry wdarłem się szczyt,
jak srebro lśniący
nad morza przestwór rozległy
i nad obłoki;
pobiłem smoki,

co wejścia do zamku twojego strzegły —
i u stóp twych klęczę,
patrzący
jak w świt,
na ciebie, w gwiazdy ubraną i w tęcze — — —

Tyżeś to jest? — Królewna-Cud?
ty — złotowłosa życia mego zorza?
ty — biały ukojenia ptak,
zesłanka boża?...
Nie jestżeś jeno jedną z owych złud,
dla których morza
napróżno przeszedłem w bród
i błędny-m schodził szlak,
z szumem na zbroi mojej orlich piór
na sto zaklętych wdzierając się gór? —
Nie jestżeś tylko jedną z owych mar,
które — w wieczystej pogoni —
moja tęsknota
w złudny stroiła czar? —
Nie jestżeś znów
jednym z tych moich snów
tęczowych, które pryskały mi w dłoni
— jak sny?...
Ty złota,
to ty? — to ty?...

O tobież śpiewał duszy mej śpiew?
dla ciebiem bujną przelewał krew
po świata końcach? —
Umiesz ty w piersi zapalić grom
i w nurtach żył
dzwon rozkołysać, ażeby bił?
Jestże w twej duszy zdrój wiecznych sił?
a w sercu twojem dla bezdomnych — dom?
a sen rozkoszny na twem białem łonie,
a w twoich oczu marzących słońcach
cisza świetlista,
co zlewa pokój na znużone skronie?
— o, piękna! o, biała! o, czysta!...

O, mów!
królewno moich snów,
którą spotkałem w tej ostatniej wiośnie
swych młodych lat...
Patrz! Chylę radośnie
me dumne czoło junacze
do twoich stóp
i płaczę —
tak rad,
żem znalazł ciebie!
Jeśli to jesteś ty —
chcę mieć bodaj grób,

mieć piękny grób
u twoich stóp:
oto spełnione są moje sny —
na duszy mojej niebie
nad mego życia stepy i morza
płonie wieczorna, złota, późna moja zorza,
— — to ty!

Lecz jeśli każesz żyć,
ja — rycerz twój —
zapalę wić
i skrzyknę w bój
mój huf, mój złoty huf
mych tęsknot, pieśni, dum i snów —;
królewno! mów,
w jaką mam rzucić go drogę?
jakie zdobywać ci kraje,
czy raje?
w jakie zaklęte wprowadzać grody
twój majestat młody?
Mów! — ja wszystko mogę!...

Królewic wczora — dzisiaj młody król,
(twe dłonie są mi koroną!)
królestwo moje, wielkie jako świat,
kraj dziwu, gdzie słońca tęczowe płoną,

rzucam do nóg twych, królewno!
Chcesz? to ci służyć będzie mój ból,
mój wierny towarzysz Ból —
i znosić ci róże
dłonią zrywane pewną,
których każdy kwiat
zrumienił się w krwi mej purpurze!
A Miłość moja i moja Tęsknota
ubiorą złociste wrota
twojej komnaty,
gdzie srebrny przędziesz len,
w te krwawe kwiaty;
twojej sypialni podwoje
ustroją w te kwiaty moje,
— ty złota! —
byś wonny miała sen!

A może mych skrzydeł ci trzeba,
tych na mej zbroi szumnych orlich piór?
by lotem ptaka
unieść się w błękit bezkreśny nieba
i spocząć na szczytach śnieżystych gór?
Chcesz może na grzbiecie mojego rumaka,
co krzesze kopytem skry,
gonić po stepie rozpierzchłe sny,
pustynne zdobywać miraże?

Chcesz uczt? w spienionej chcesz utopić czarze
wszystko, co smutkiem było i żałobą? —
A możeś ty żądna jest krwi?
— więc powiedz mi,
czy ją z serc wrogów wytoczyć mam,
czy broczyć sam
rozdartem łonem przed tobą?...

Jeśli chcesz władać — to będziesz mi pani
w królestwie mego ducha:
każda myśl moja cię słucha,
z tęczy, z wichru, czy z burzy —
każda ci służy,
jak wierni królowej poddani!
Daruję ci moje bezkreśne włości
marzeń, snów i piękności —
i ja sam, władca, uklęknę,
aby władały mną twe dłonie piękne!

A wzamian mi daj
ten wiosny mojej spóźniony maj;
wzamian mi wróć
na drogach życia zgubione sny —
rozlane łzy —
i krew —,
rozegraj w duszy mej ten wielki śpiew, —

tę świętą, ostatnią pieśń bożą
wzbudź,
co czekała ciebie —
o, zorzo złota na mojem niebie,
wieczorna zorzo! — —

O! daj mi wiarę, że to jesteś ty,
naprawdę ty — Królewna-Cud,
której wołały wszystkie moje sny! — —
Otom w pogoniach zgubił lata młode,
— wróć mi je, wróć! —
Ostatkiem sił,
gdy mi perłową burza wzięła łódź,
to wielkie morze przebyłem wpław
i na ten szklany wdarłem się szczyt,
nieść ci swobodę —
I — zbawca twój —
z kolei błagam: ty mnie zbaw!
Bo jeślim znowu jest igraszką złud,
jeśli ty — tęsknót moich jeno zwid —
nie zbudzisz śpiącej w głębiach moich żył
mocy, bym wstał i był
jako potężny czarodziejski król:
— to już ostatni mego życia trud,
ostatni bój

i ból —
i dzień ostatni mój...

O, mów!
królewno moich snów, —
przez te me krwawe zaklinam cię łzy:
to ty? to ty?... to ty!...

Królewna mówi:

A tak... to ja, to jestem ja!
zorza złotowłosa,
twoja późna zorza, —
mórz przedziwny kwiat,
o którym śniłeś za swych młodych lat...
Za mną tęsknota twoja wielka szła
— pątniczka bosa —
przez sine morza,
i przez ten błędny świata manowiec,
krwawy stopami znacząc ślad — — —
A tak! to jestem ja, —
lecz czemu tak późno przychodzisz? — powiedz!

Czekałam tak długo, kochanku!
skarby cię moje czekały bezcenne,

liljowe piersi i oczy promienne,
krwi mej i łez mych klejnoty jasne,
te twoje, te własne —
mój królu!...
Każdego poranku,
kiedy na niebie
jak włos mój złota paliła się zorza,
na Szklanej Górze śród bezkresów morza,
płacząca — pod strażą smoków —
czekałam, rychło wyzwolisz mnie z oków
tęsknoty i bólu, —
czekałam, chowając dla ciebie
mą miłość i mą tęsknotę,
snami pachnące włosy moje złote
i purpurowe te wargi moje,
mych ust pragnących przesłodki kruż,
w którym są szczęścia nieprzebrane zdroje;
czekałam, czy idziesz już,
o, mój!...

I tak marzyłam: Długa minie noc
i w złoty świt
przyjdziesz, zwycięski stoczywszy bój,
na Szklanej Góry szczyt, —
i zapatrzony w me gwiezdne oczy
klękniesz przedemną, — ja kosy rozplotę

skroń twą utopię w złocie mych warkoczy,
ubiorę cię w zorze me złote,
usty cię memi napoję
i dam ci moc,
strudzony rycerzu ty, kochanku mój! —
na nowe zwycięskie boje,
byś dla mnie zdobywał tron,
dla siebie — hyr,
rozgłośny hyr
i piękny zgon,
szczęśliwy, sławny grób
u moich białych stóp —
ty mój!
— a sny me w dal niósł morza wir...

Czekałam ciebie przez te długie lata —
tak pełna wiary...
a tyś gdzieś błądził śród dalekich ziem,
a tyś gdzieś gonił po rozdrożach świata
ułudne mary,
— z myślą o mnie, wiem!
lecz nie umiejąc znaleść drogi do mnie,
prostej ogromnie —,
a jam czekała,
tak młoda, i piękna, i biała...

Codziennie łzy me padały w morze
i na błękitnym wielkich wód przestworze,
aby cię przyzwać z oddali
na Szklaną Górę, na ostrów z korali —
ja łzami-perłami szyłam
słowo tęsknoty;
codziennie w smutne gasnące zorze,
wznosząc powieki,
ócz swych rzucałam blaski
i na błękitnym wielkich nieb przestworze
napróżno spojrzeń gwiazdami szyłam
znak mej miłości złoty,
zaklęte słowo łaski, —
któregoś nie dojrzał — daleki...
— A wiesz? — tak piękna byłam...

Lecz mijał czas —
i każdy dzień z mych cudnych kras
brał jeden klejnot drogi
na nieoddanie wiecznie...
Zły starzec Czas
wszedł w mego zamku progi:
kradł moje perły-łzy,
mych oczu blaski słoneczne,
kradł me uśmiechy i moje sny,
tęczowe sny,

mych marzeń przewonne kwiecie
i mej miłości pierwszej dumny czar —
a tyś się błąkał po dalekim świecie,
szukając złudnych mar! —

I przychodzili tymczasem rycerze
a chociaż żaden z nich nie był tobą,
lśniącą zbroicą mnie oszukali:
brali mych tęsknot pacierze
i pocałunki mych warg!
Ginęli za karę w tej fali;
przysypał ich gruz i piarg, —
lecz pocałunków moich nie oddali
i wzięli młodość moją ze sobą
tam — w toń!...
Ty nie wiedziałeś nawet o pogrzebie
młodości mojej, kochanku, —
a wszak bezustanku
czekała jedynie na ciebie! —
i twoja wina
że dziś, gdy wybiła godzina,
moja promienna skroń
ćmi się żałobą...

Przyszedłeś wreszcie — klęczysz u mych stóp
i patrzysz w moje oczy —

a pod pancerzem twoje serce broczy,
bo wiesz, żeś przyszedł chować szczęście w grób,
nienarodzone wielkie szczęście nasze...
Chcesz mej miłości? bierz ją, bierz!
Chcesz serca mego? bierz to krwawe ptaszę,
które każdego poranku
wzywało ciebie...
Przebyłeś świat,
by zdobyć mnie, swój biały kwiat —,
lecz czemu tak późno przyszedłeś, kochanku,
gdy już wieczorna zorza tli na niebie?
Przed kwiatem jest cierniowy kierz,
więc ciernie z kwiatem bierz;
weź miłość moją i moje dziwy
a wraz
tych niepowrotnych młodych mych kras
wieczysty głód,
co żreć cię będzie, pókiś jeno żywy:
tak! jestem piękna, ale byłam — cud!

Bo wiesz, jaki to był wonny kwiat
te usta moje — niepocałowane?
i jakiej rozkoszy świat
był na mem łonie?
i jakie kryły blaski świetlane
mych młodych źrenic niezgłębione tonie?...

Hej! królewicu, junaku ty!
wstań od mych stóp i leć
za tem, co mogłeś mieć!
Ślij huf, swój złoty huf!
niech szuka moich snów
i tych przedziwnych kras,
które mi zabrał zły starzec Czas!
Ślij w świat! na mórz
siną dal —
niechaj wyłowi z fal
me perły-łzy! —
niech od tych czerwonych zórz,
co nad tęsknotą moją się paliły,
odbierze uśmiechów mych wonne kwiaty,
od gwiazd — te czarnoksięskie siły,
które za tobą rzucałam na światy!
Skocz w morza głąb i z martwych lic
rycerzy zerwij pocałunki moje,
odbierz skradziony skarb,
byś ty nie stracił z tego nic,
co twoje było, tylko twoje!...
Idź! wiatry klnij,
z burzą się szarp,
niechaj ci moje westchnienia oddadzą,
mą miłość i ten mój ból...
Ty jesteś król!

— ciebie me białe uwieńczyły dłonie
i złoty huf masz pod swą władzą,
więc ślij
swój złoty huf
przez nieba w lot, przez morza w bród
za tem rozpierzchłem ptactwem moich snów,
niech wróci znów,
abym stanęła w skrzydlatej koronie...
— Pięknam jest dzisiaj, ale byłam — cud!...

A to ci mówię, byś się z bólu wił,
gdy będziesz z ust mych rozkosz pił;
a to ci mówię, byś u moich stóp
swe dumne szczęście położył w grób;
a to ci mówię, by ci było źle! —
jak mnie! jak mnie! — —
aby tęsknota twa, nigdy nie syta,
ze snów na mojem łonie cię budziła
szeptem, co znagła wśród upojeń pyta: —
— a wiesz ty, jaka ona »wczoraj« była? —
byś tem wieczystem pragnieniem żył,
tą obłąkaną krwawą tęsknotą
za dnia naszego ranną zorzą złotą,
która spłonęła już — bez nas! — na niebie,
i kochał mnie
— ty młody król,

cierniem wieńczony król,
przez życia twego stracony raj,
przez mojej krasy zgubiony maj
i ból —,
jako ja kocham ciebie
— przez ból! przez ból! przez ból!

RAJSKI PTAK.

Przyleciał rajski ptak
na drzewo w moim ogrodzie,
o słońca zachodzie
przyleciał...

A złote na sobie pióra miał,
jak ta wieczorna zorza na niebie, —
w złociste pióra miał ubraną głowę,
i skrzydła miał duże, tęczowe —
i tylko na piersi maleńkie
jedno miał piórko
czerwone...

— O, rajski ptaku,
coś siadł na kwitnącej jabłoni,
gdy dzień już zorzą się płoni,
o, rajski ptaku złocisty
na tej jabłoni w mym sadzie,
gdy słońce już do snu się kładzie,
powiedz, czy ze mną zostaniesz?...

Jeśli odlecisz, ty ptaku złoty,
już nie pozbędę się nigdy tęsknoty,
jeśli odlecisz, mój ptaku,
to źle mi już będzie na świecie,
tak źle i smutno i ciemno, —
o! zostań, zostań ze mną...

Gniazdo ci tutaj uścielę
na tej kwitnącej jabłoni,
co ciężkie kwiatem gałęzie kłoni,
gniazdo ci tutaj uwiję,
w wiosennem kwieciu i woni,
a kiedy lato przeminie
i jesień nadejdzie obfita,
to jabłoń, co teraz rozkwita,
złociste ci jabłka w darze
posypie...

O, zostań, ptaku,
co w jasne pióra masz ubraną głowę,
w złocistą koronę,
jak ta wieczorna zorza na niebie,
i skrzydła masz duże, tęczowe —
i tylko na piersi maleńkie
masz jedno piórko
czerwone...

— Nie! nie zostanę!...
Ja lecę światem,
jako ten promień słoneczny,
ja — tułacz wieczny!
A tylko gdy mi zapachnie kwiatem
jabłoń w ogrodzie,
to siadam na kwietnej gałęzi
o słońca zachodzie, —
siadam na chwilę,
nim kwiecia białe motyle
spadną na ziemię,
nim zajdzie słońce czerwone... —

Ach! gdzież poleciał, w którą świata stronę,
ten ptak złocisty,
który o słońca zachodzie
siadł na jabłoni w moim ogrodzie,
kiedy okryła się kwiatem
— wczoraj...?

ZŁY GAD.

...A kiedy przyszedł do mnie mój ból
w najrozkoszniejszym mego życia dniu,
słoneczną szczęścia malowanym pychą:
przyszedł ukradkiem, znienacka i cicho,
jak wąż wypełzły z róż;
jeszczem rajskiego nie prześnił snu,
jeszczem swojego szczęścia nie przeżył,
a on mi gardło ścisnął już
i dławił w piersi tchnienie wonnych pól
i ćmił w mych oczach blaski zórz;
jeszczem nie wiedział, jeszcze nie wierzył,
jeszczem się nie chciał przyznać, że boli,
a on już przy mnie był
i w piersi głąb
zapuszczał ostry ząb
powoli, powoli...
i rozedrganą szczęściem krew mych żył
tak chciwie pił,
— zły gad! mój ból...

Tedym go prosił: Pofolguj! stój,
o, bólu mój!
poczekaj jeno chwilę,
niechaj się szczęściem mojem napoję,
potem — ja twój
po zgon!
Gryść mię już będziesz całe życie moje,
gryść mię już będziesz nawet w mogile —,
nawet w mogile ząb twój nie spocznie,
tylko przez chwilę
teraz pofolguj jeszcze,
niechaj się szczęściem swojem napieszczę!..
Lecz on
żelazne kręgi zwarł
i zębem serca szukając, darł
bezwłocznie, —
— zły gad! mój ból...

Więc się do walki zerwałem wraz:
kiedy go prośba nie wzruszy,
to go pokonam i wyrwę z duszy —
a szybko, szybko! dopóki czas,
zanim krew wyssie, nim serce wyje,
nim sen mój zgłuszy,
dopóki jeszcze moje szczęście żyje,
me jasne szczęście —

dopóki czas! —
Lecz darmo w obie chwyciłem go pięście
i darmo stopą przygniotłem twardą,
myśląc, że uśmiercę,
bo on mocniejszy był
i wznosił głowę hardo,
gdym ja opadał z sił
i niezmożony znów mi ściskał gardło
i kły znów wbijał w serce
i żyły darł
i gryzł i żarł —,
a szczęście moje marło
a żył
zły gad — mój ból...

I zobaczywszy, że jest nieśmiertelny
ani się jaką da pokonać siłą
i nawet zdeptany — nie skona,
ze wstydu w głębi go ukryłem łona,
a chociaż szczęście moje już nie żyło,
usta przybrałem w uśmiech weselny,
skroń — w zielone liście,
aby przynajmniej nie wiedział świat,
że we mnie żywie gad,
który wypełznął z róż,
jak wąż, —

że we mnie żywie już
wieczyście...
A on — jadowity,
w łonie mem skryty
żarł i gryzł i szarpał wciąż,
— zły gad, mój ból...

Aż widząc, że się niczem nie obronię,
jąłem kląć żmija, co w mojem łonie
krwawy uczynił sobie dom;
kląłem przez szczęście me niedokonane,
przez snów rozwiany czar
i przez tę wielką w mojej piersi ranę
i przez umarłe te róże moje,
które się wskrzesić nie dadzą łzom;
i złorzeczyłem, że go krwią swą poję,
karmię trupami swoich złotych mar, —
a on ni gniewny był,
ni z miotań moich drwił,
ani się śmiał;
na klątwy, jęk i płacze głuchy
na szyi mojej zwisł
i łeb kołysząc sennemi ruchy
łono, co krwią się plami,
zimnemi kłami
gryzł

i po staremu żywe ciało rwał
— zły gad, mój ból! — —

Przemijał czas
i oczom łez i klątwom brakło sił,
a w kłąb zwinięty siny płaz
na piersi mojej ciągle żył...
Przemijał czas i dnie mijały —
i zobaczyłem, że już żyć z nim muszę,
dopókim żyw
tu na świecie —,
i dziw,
bo kochać zacząłem upiora,
co serca mego pożarł tak wiele,
że krwią z krwi mojej prawie stał się cały...
Tedym go czule otoczył ramiony
— potwora —
i tak do łona przygarnął, jak dziecię,
i krwią go poił, myśląc, że przecie
głód jego w końcu nasycą katusze
i będziem razem żyć, jak przyjaciele,
on, który zranił, i ja — zraniony...
Lecz gad, do serca tulony,
tak samo dzisiaj zgłodniały, jak wczora,
wciąż jeno dusił i gniótł

i żarł, bez końca gryzł i bódł,
— zły gad, mój ból!

O, bólu mój!
— wołałem tedy doń, —
gdy nienasycone są twoje głody,
to chociaż piękny bądź, jak szatan młody,
abyś mi za to, com dla ciebie stracił,
pięknością swoją zapłacił!
Ja będę król,
a ty mi będziesz koroną, mój ból;
w błyszczącą łuskę twą ubiorę skroń,
jako w żelazną koronę,
na której rdzawe płoną rubiny,
krwi skrzepłej róże, —
i ran tych moich kosztowną oponę
jako szkarłatny wdzieję na się strój
i w majestacie mojej wielkiej męki,
w krwi swej purpurze
błogosławiącym ruchem ręki
przeżegnam świat,
w twe imię wszystkie odpuszczając winy...
I jenom czoło uwieńczył, ów gad,
co w najszczęśliwszy niegdyś przyszedł dzień
bez zwłoki obręcz żelazną zwarł
ząb wbijając w mózg i rdzeń

tak gryzł — ohydny! —
posoką ślizki, wstrętny i bezwstydny,
i gryzł i żarł,
— zły gad, mój ból!

I oszalały jego strasznym jadem,
złamany jego przemocą straszliwą,
zrobiłem sobie zeń w końcu bożyszcze
i na kolana upadłszy przed gadem,
objaty krwią mu odtąd świecę żywą,
dymiące szczęścia i nadziei zgliszcze,
jak kadzielnicę wielką przed nim kładę
i drżącą wznoszę dłoń,
a wargi moje, pokorne i blade,
tak bałwochwalczo modlą się doń:
— Bądź pochwalony,
bólu niezmożony,
sława ci wieczna i we dnie i w nocy,
że pierś mą krwawisz,
że serce trawisz,
a nic się oprzeć nie zdoła twej mocy;
bo szczęście zginie,
bo życie minie,
a ty trwać będziesz, zwycięski;
za rany moje,
za łez tych zdroje,

przez męki, cierpienia i klęski,
przez raj utracony —
bądź pochwalony:
gdy wszystko, com kochał, przepada,
w ciebie już tylko wierzę, w tobie żyję! —
— I tak się modlę przed ołtarzem gada,
przed stołbą z krwawego serca,
które opasał tak,
w wieczności zwinięty znak;
a on, zachłanny bóg,
mój druh i wróg,
ze sykiem wyciąga szyję
i żywe ciało swej ofiary rwie
i w głąb się wwierca
i żre — —
— mój ból...

NA MORZU.

Wypłynęliśmy na morze,
na błękitną toń, —
a nas dwoje w łódce było,
trzecie z nami szczęście nasze
słoneczne, —
śmialiśmy się doń...

Wiózł nas wioślarz stary.

Było z nami szczęście nasze,
to młode,
gdyśmy razem wypłynęli
na wielką wodę,
na szeroką, morską toń
błękitną,
w taki jasny i pogodny
dzień jesienny,
kiedy fale słońcem kwitną;
było z nami szczęście nasze:
śmialiśmy się doń —
jak dzieci...

Wiózł nas wioślarz stary.

Patrzaj, luba, patrz, kochana,
jakie piękne szczęście nasze,
nasze szczęście młode —
takie święte i jasne
jak dziecię,
wonne, jako kwiat, —
ukochane szczęście nasze
to własne
i jedyne na świecie
szczęście nasze złote,
które do nas przyleciało,
jak ptaszę,
kiedy śmiał się cały świat
wiosną... wiosną — hej!

Czy je takiem dowieziemy
na tę drugą stronę,
na daleki, na nieznany
drugi morza brzeg?
Przyjdą burze, przyjdą deszcze,
— tak daleka droga jeszcze —,
przyjdzie grad i śnieg...
Patrz, jak piękne nasze szczęście,
szczęście nasze młode;

czy je takiem dowieziemy
przez tę wielką wodę
tam — na drugi, mglisty brzeg?...

Zniesież białe szczęście nasze
luty życia trud?
morskie burze, wichry, śniegi
i dróg ziemskich brud?
A jeżeli się pokala,
jeśli zbrzydnie nam
piękne nasze szczęście młode —
jedyne,
z którem na tę słoną wodę,
na fale sine,
wwiózł nas wioślarz stary — — ?

A nam trzeba płynąć w dal
przez burzliwych odmęt wód
naprzód wciąż! —
potem jeszcze w górę iść
na tych szczytów biały lód,
co nieznany wieńczą brzeg...
Przez topiele fal,
przez skalisty gruz
i śnieg
gna nas Doli mus
tam — na szczyty gór! — —

Słysz, wioślarzu mój!
małą chwilę stój, —
zaraz dalej popłyniemy,
jeno w morski odmęt siny,
jeno w wielką, słoną wodę
rzucę szczęście nasze młode,
w kryształowy grób! —
ukochane szczęście nasze
które do nas przyleciało,
jak ptaszę,
kiedy wiosną śmiał się świat!...

Patrz-że, moja luba, patrz,
jakie piękne szczęście nasze,
nasze szczęście młode
na dnie czystych wód!
Nie potrzebny żal i płacz;
tam mu dobrze —
pod wodą,
tam go burza nie dosięże,
nie pokala ziemski brud,
a ta morska, modra fala,
słona, jako łzy,
szumieć będzie mu do snu,
szumieć będzie mu —
tej miłości naszej echem,

która taka wielka była,
że je tutaj w grób złożyła —
tak młodo,
w kryształowy grób...

Płyń, wioślarzu stary!

A gdy kiedyś powrócimy,
szaleni wędrowcy,
tam ze szczytów gór,
gdzieśmy wyszli — hej! — bez szczęścia;
a gdy kiedyś powrócimy
utrudzeni i znużeni
i stęsknieni
za tem młodem szczęściem naszem
jedynem —,
gdy wrócimy na to morze
w toń — tam w głąb — na dno —
po spocznienie, po wytchnienie,
po ostatnie ukojenie
i ochłodę —
na wieczysty ślub:
to znów szczęście odnajdziemy
na dnie cichych wód,
piękne nasze szczęście młode
i czyste,

co tu czekać będzie nas,
dziś rzucone w jasną wodę,
w piękny, jasny grób...

I płynęliśmy znów dalej
po szumiącej, morskiej fali
w stronę śnieżnych gór;
chyżo mknęła po przestworze
nasza lekka łódź, —
mknęła w dal,
choć za nami łkało morze,
łkało zcicha: Wróć!...
Nic to, nic! — Płyniemy dalej, —
próżny żal...!

Wiózł nas wioślarz stary.

Abbazia.

ZŁOTY WŁOS.

Schowajże mi, matuś moja,
ten złocisty włos, —
schowaj dobrze ten włos złoty
z promiennej głowy,
co uczepił się mej szyi
w chwilach pieszczoty,
gdym wśród jasnych krył warkoczy
rozkochane moje oczy —
w niepowrotnym i przepadłym
mego szczęścia dniu!

Schowajże go, moja matuś,
dobrze mi go schowaj,
boć to wszystko, co zostało
z tego szczęścia mego,
z jedynego, z rozwianego,
ze złotego snu!...

Ten włos jeden, taki jasny,
taki złoty włos, —

jak pajęcza nitka cienki,
a jak jedwab — taki miękki —
ten słoneczny, długi włos...

Matuś moja, matuś miła, moja matuleńko,
takie było i to szczęście,
to jedyne szczęście moje,
którem prześnił już:
jako włos ten — takie złote,
słabe — jak ten włos...

MYTO.

Kupiłem sobie szczęście
od Życia
za wielki, krwawy
ból...;
Za każdy uśmiech jego łaskawy
płaciłem krwią,
za każdy promień, za każdy błysk
płaciłem szczodrze
jak król —
cierpieniem
i wypłaciłem tę gorzką cenę
sumiennie,
do grosza wypłaciłem
tę cenę bólu i krwi,
której za szczęście
żądało Życie
odemnie...

Szczęście sobie kupiłem
od Życia

za wielki ból —
i tak mówiłem:
Szczęście!
ty moje szczęście!
będziesz już zawsze ze mną
i noc mi rozjaśnisz ciemną
i dzień mi ozłocisz złoty
i gorzkie osłodzisz mi znoje,
ukoisz tęsknoty —
ty moje,
ty szczęście moje! —
za ból kupione
tak krwawy...

Czekałem tak długo
na ciebie —
i mam cię wreszcie, jedyne!
Pójdziemy teraz na góry,
co błyszczą tam na niebie,
na szczyty sine
pójdziemy razem, o, szczęście!
Na górach słońce świeci,
o, szczęście!
tam w słońcu poczniemy dzieci,
te nasze ptaki złote,
baśnie słoneczne,

różane,
co ludzką ukoją tęsknotę,
te dzieci nasze, kochane —
i wieczne! —

Na góry pójdźmy, na szczyty,
w błękity —
tu w dołach trzymał mnie ból, —
czekałem na ciebie,
o, szczęście! —
na góry pójdźmy, na góry,
co śnieżne błyszczą na modrem niebie, —
w lazury —.
Stamtąd będziemy
światu błogosławić,
stamtąd mu tęcze będziemy słać,
aby od smutku go zbawić,
świetliste tęcze,
aż się nauczy jak dziecię śmiać
— z nami...
aż zapomniawszy łez i tęsknoty,
pokocha śmiech
złoty,
nauczy się śmiać! — —

I szedłem w górę ze szczęściem swojem
za ból kupionem, za łzy —

szedłem samowtór
po tęcze i sny,
śmiejąc się w drodze...

Aż zastąpiło mi Życie, handlarz niesyty
Płać!
tu myto trzeba dać! —
Jeżeli chcesz na górę iść,
to musisz się okupić!
Za każdą piędź
tej ścieżki wzwyż
ku stropom nieba
tu drogo płacić trzeba!
Ty szczęście masz,
więc szczęście swoje ty mi zwróć,
jeżeli chcesz na góry iść,
by tęcze snuć,
by uczyć ludzi, jak się śmiać!
Ty szczęście musisz dać,
swe szczęście,
ażeby w górze tęcze tkać,
aby się ludzie mogli śmiać!...
Więc płać! —

I szczęście moje drogo kupione,
kupione za ból —

za łzy —
dałem na myto,
i idę w górę — sam,
po sny,
dla ludzi — po sny — tęczowe...,
które im dam — —
ha, ha!

LIST.

Pisałem list — a w liście
pisałem krwią,
że chociaż razem żyć z nią nie mogę,
to będę kochał ją
wieczyście, —
idąc samotnie w tę gorzką drogę
mojego życia,
obraz jej z sobą zabiorę wszędzie;
że każda myśl ma, każde tchnienie
i każdy tętna dreszcz
należą do niej
i zawsze tak będzie —
po zgon...
To wszystko pisałem w liście
do niej!

Pisałem jeszcze, pisałem krwią,
że była mi więcej, niż życiem,
że była mi duszą,
że wielkiem, jedynem szczęściem była

dla mnie,
i dziękowałem jej
za szczęście, za śmiech,
prześnione sny
— i ból — i łzy,
za każdy dzień i każdą chwilę
z osobna,
za wszystko jej dziękowałem:
za wszystko dobro
i grzech,
za miłość...

Pisałem jeszcze, pisałem krwią,
że mi tak straszno jest bez niej żyć,
tak czarno —,
że wiecznie tęsknić będą moje oczy
za nią,
lecz że odchodzę,
ażeby nie stać jej w drodze,
aby cierniami nie ranić jej stóp,
że raczej własne serce rozdzieram,
co broczy
i krwawe rzucam w grób,
by tylko łez jej nie widzieć, —
przez miłość moją i dla mnie
wylanych łez...

Pisałem jeszcze, że w miłość jej wierzę
i wiem, że cierpi, jak ja —
tak szczerze, —
ale zapomni;
więc ją prosiłem o spokój, o ciszę,
o utulenie tych łkań,
które z oddali sercem swojem słyszę; —
pisałem,
że na pożegnanie
całuję jej oczy
i stopy —
i gładzę jasny, złoty splot warkoczy
i sercem całem
ku niej się rwąc,
ostatni, ostatni raz jeszcze
usta jej pieszczę
i to posyłam jej słowo ostatnie:
kocham! —
to ostatnie słowo...

I przykleiłem markę pocztową
i list wysłałem
do niej, —
za góry, za morze...

Wysłałem list, pisany krwią

i z dnia czekałem na dzień,
że mi odpowie...

Myślałem, że chociaż Bogu mnie poleci,
że uśmiech mi prześle ostatni,
ostatnią prześle mi łzę
rzuconą na grób
naszej miłości
i szczęścia,
które już dla nas nigdy nie zaświeci,
naszego szczęścia gorzkiego grób...

Mijały dnie...
I przyszła wreszcie ta wyglądana
odpowiedź;
na ładnej kartce pocztowej
z widokiem
pisała moja kochana
coś w tydzień prawie
te słowa czułe:
»Pozdrawiam Pana!
byłam tu wczoraj na zabawie, —
czas śliczny...«

DZIWNA, DZIWNA BAJKA.

Śni mi się w zamku królewna zaklęta,
biała i złota
i święta,
co len srebrzysty na wrzeciono mota
i śpiewa:
»O, szczęście! o, jasne szczęście...«
Z dalekich krajów tam
ciągną hufami rycerze pancerni,
jej wierni —,
z malowanemi płatami u drzewa,
z mieczami w dłoni —
i w zbroic chrzęście
stają u bram,
gotowi życie nieść
dla sławy jej i za jej cześć,
lecz ona
głowę swą kłoni
ku pieśniarzowi, co u stóp jej kona
z miłości — i śpiewa:
O, szczęście...!

TYŻEŚ TO, MORZE...

Tyżeś to, morze, ty żeś to? ty samo?
Czarną mi kładziesz się plamą
na bożym świecie
i na mej duszy, która wspomina...
Jak oko sięga
hen — w dal! —
aż tam — po szare krańce widnokręga
odmęt zorany bruzdami fal,
spieniony, ryczący, wściekły:
o, morze!
a wszak to jasne miało być łoże
w twem łonie
dla mego szczęścia,
którem tu rzucił w błękitne tonie
i ciche — dziś? wczora?...

Jam ci je oddał, jam ci je powierzył,
o, morze,
aby w przejasnych kryształach spało,
a tyś się śmiało

błękitem fal i blaskiem słońca,
podobne szczęściu mojemu;
ach! czemu
burzysz się dzisiaj, od końca do końca
spienione, — czemu?...

Jam przecież moje szczęście oddał tobie,
wierząc słonecznej twojej obietnicy,
którą mnie fala obłudna kusiła,
że trwać tu będzie w kryształowym grobie;
a kiedy serce me dojmie tęsknota,
to przyjdę tutaj, o, morze!
a ty poniesiesz mnie przez tęczy wrota
— ciche i modre, jak wczora —
nad szczęściem mojem,
błyszczącem wskróś fali
jako ta zorza złota,
z wieczora, gdy słońce, spłynąwszy po niebie
w przeźrocza wód,
długo się jeszcze na dnie skrzy i pali,
w ptaka zmieniając łódź, a w lazur ciebie...

A oto stoję
nad rozhukanym, czarnym żywiołem;
o, morze!
czyż cię zmąciło tak to szczęście moje...?

Tak-że jest trudno bezbrzeżnemu morzu
strawić i pochłonąć
jeden los ludzki?
jedno marne szczęście człowieka?
i wielkiem, cichem zwierciadłem
przykryć je:
niech zmartwychwstania napróżno nie czeka...?

Więc nawet w szczęściu
ludzkiem jest tyle goryczy
i tyle zła,
że zdolne spienić morze i zamącić
do dna,
ogromne, bezbrzeżne morze...?

O, szczęście moje! o, mój śnie...
o, Boże! — —

Fiume.

SREBRNĄ DROGĄ.

Wymościłeś mi, księżycu,
srebrzystą ścieżynę
przez to wielkie morze
sine,
przez te czarne morskie tonie
wymościłeś mojej łodzi
jasny szlak —.

Hej! Boże...

Mów! — jeżeli nim popłynę,
mów! — czy szczęście swe dogonię,
które już odchodzi
w dal,
obłąkane szczęście moje,
gdzieś na wyraj ponad morze
lecące jak ptak?

Hej, Boże...

Czy pochwycę dzień wczorajszy
na tym jasnym szlaku
pośród fal,
czy też znajdę na nim jeno
ten idący w świat przedemną
mroczny, mglisty,
echem strojny,
nieukojny
i wieczysty
— żal...?

Na Adryatyku.

TRZY KWIATY.

Nie chciały kwitnąć te kwiaty
w trupiej czaszce sadzone,
nie chciały...

A jeden kwiat miał być biały,
a drugi miał być czerwony,
a złoty miał być ten trzeci
kwiat w trupiej czaszce sadzony,
kwiat złoty! — —

Jeden miał być tak biały,
jako piersi twe młode,
jak te moje marzenia
o tobie,
co na bystrą gdzieś wodę
porzucone — poniesione
popłynęły w świat!...

Nie zakwitnął biały kwiat...

Drugi miał być czerwony,
jak twe usta, twe usta! —
jak ta moja krew spiekła,
co mi serca pociekła
przez kochanie jedyne,
dla którego dziś ginę;
miał być taki czerwony
ten kwiat drugi, sadzony
w starej trupiej czaszce.

Nie zakwitnął kwiat biały,
nie zakwitnął czerwony,
nie zakwitnął ten trzeci,
który miał być tak złoty,
jak twe włosy promienne,
jak to słońce, co świeci
— nie dla mnie! —
jak to szczęście wyśnione,
szczęście moje stracone,
które przeszło koło mnie,
idąc kędyś w świat!

Nie zakwitnął biały kwiat,
ten kwiat mej tęsknoty,
kwiat mojego snu;
nie zakwitnął czerwony

kwiat miłości mojej;
nie zakwitnął ten trzeci,
ten złoty,
łzą gorącą zroszony
szczęścia mego kwiat — — —

Nie chciały kwitnąć te kwiaty
w trupiej czaszce sadzone,
nie chciały...

A jeden kwiat miał być biały,
a drugi miał być czerwony,
a złoty miał być ten trzeci,
hej! złoty — — —

WINO.

Dziewczyno, dziewczyno,
został mi tylko śpiew, zostało wino,
bo ciebie już nie mam, dziewczyno!...

»Nie mów, że kochasz...
Patrzę w twe oczy:
czasem w nich tylko błyśnie skra — z pod zgliszczy;
patrzę na usta twoje purpurowe:
czasem drgną jeszcze,
jak gdyby znowu ust mych chciały...«

O, biały!
o, złoty mój kwiecie!
Jednaś mi była, jednaś jest na świecie...

Hej! hej! śpiewać sobie będę
o tych jasnych oczach twoich,
które jam całował —
dawno już...!

Będę sobie śpiewkę śpiewać
o tych ustach twych, dziewczyno,
co są słodsze, niż to wino,
które każę tu nalewać
w lśniący kruż,
krwawe wino, które piję —
hej! — dziewczyno moja!

Nie, nie jesteś ty dziewczyna
i nie jesteś moja.
Nie ja ciebie brał od matki,
nie ja w kraśne stroił kwiatki
twą spłonioną skroń, —
tyś nie zemną poszła w życie,
nie mnie białą dałaś dłoń
i miłość pierwszą, dziewczęcą,
i usta jeszcze niepocałowane
i piersi białe,
co szczęścia nie znały jeszcze
i drżą
na myśl o szczęściu — nieznanem, przeczutem,
i płonią się całe,
że drżą...

Dobry jest Pan Bóg i dobre jest wino,
które dał smutnym ludziom ku pociesze!

Śmiejmy się z tego! —
Niech płyną
te strugi wina — jak krew czerwone,
jak twoja młoda krew,
a tak ogniste, jak twoje uściski,
w których się człowiek, obłąkania blizki,
jednem pragnieniem staje
i zapomina
w otchłannym szczęścia obłędzie,
żeś ty jest cudza i żeś nie dziewczyna...!
Niech płyną te strugi wina
upajające, jak twe usta młode,
które kto inny całował
— przedemną
i po mnie inny znów całować będzie, —
rozkoszne usta,
zabijające swą straszną słodyczą
tajemną —
i wonne
jak róże, co się do słońca rozśmiały...

O, biały!
o, złoty mój kwiecie!
Jednaś mi była, jednaś jest na świecie!

Perli się wino, jak czerwona krew...

Gdzieś tam w cyprysach jęczą słowiki,
skarżą się, śmieją, zawodzą, —
a pachnie bzowy krzew,
a wielkie łuny zachodu
odchodzą
na morze,
na sine morze dalekie...

Perli się wino...
ty moja jesteś! mojaś jest — dziewczyno! —
Wszystko nieprawda!
ten żal — i ból,
i to rozdarcie serca, ta tęsknota,
i to, że inny
dotknął twej dłoni, albo dotknie kiedy — —
Wszystko nieprawda! — oto jesteś — złota —
tu przy mnie,
oto cię biorę za białą dłoń
i wiodę
w jakieś cyprysy szumiące
na skałach,
nad jakąś srebrną od księżyca wodę,
srebrną jak nasze kochanie — to młode,
a twoje oczy — jako dwa miesiące
błyszczą mi — jasne...
Czy sen?

Cicho bądź, cicho... Jeszcze jedna szklanka
czarodziejskiego wina...
Mojaś jest, moja — ty kochanka,
jedyna,
ty — kwiat, ty — szczęście,
ty wszystko moje!
Idziemy — w dal
oboje
po wysrebrzonych grzbietach modrych fal,
za nami już
i ból, i żal,
a błyszczą mi oczy twoje
— słyszysz słowiki
wśród róż? —
a twoje włosy pieszczą moją skroń
i pachną...
— czy czujesz bez? —
a twoja dłoń
w mych ręku drży, —
do zaklętego idziemy ogrodu,
gdzie niema smutku, niema łez,
o, ty! — o, ty! — —
kochana...
Szczęście przed nami, czy wiesz?
jako ta złota łuna zachodu...
— daj ust, — tu kres...

Czy dusza twoja przyszła do mnie?
— Cyprysy się w wietrze zachwiały — — —

O, biały!
o, złoty mój kwiecie!
Jednaś mi była, jednaś jest na świecie...

Dobry jest Pan Bóg i dobre jest wino,
które dał smutnym ludziom ku pociesze!

Werona.

SMUTEK.

Idziesz ty, smutku mój, za mną po świecie,
idziesz ty za mną...
Morzaś przepłynął i przeszedłeś góry
i jesteś przy mnie wciąż...
W złoconych miastach, wśród ulicznej wrzawy;
gdzie tłum się wił i śmiał,
tyś się przemykał jak wąż
i wciąż
ramię o ramię, jam cię przy sobie miał —
i szedłeś wraz ze mną
i rękę mi kładłeś na czole,
aby mi było w blasku słońca ciemno...

Tyś ze mną
siedział w noc cichą na okrętu przodzie,
kiedy w miesięczną wpatrzony ścieżynę
na czarnej wodzie
myślałem: dokąd ja tą drogą płynę
i w jaki kraj —

ja com zostawił już szczęście za sobą
gdzieś na rozdrożu,
dokąd ja płynę
tą drogą srebrną na wielkiem morzu
miesięczną drogą...

Na szmaragdowych kanałach, w gondoli,
tyś się kołysał wraz ze mną — milczący
i w jasnych blaskach dnia,
w pożarnem słońcu
widziałem bladą twą postać na czarnej
ławie siedzącą przedemną
jak cień,
widziałem twe duże,
twoje bezsenne, nieruchome oczy...

Na drogie, złote pałace,
na cuda w barwnym rzezane marmurze
wraz z niebem w wodnej odbite przeźroczy,
przez twą zasłonę patrzyłem
i byłem,
jak człowiek, co czyta
na wszystkiem pięknie to jedyne słowo,
to twoje słowo, co zewsząd wykwita,
gdy z tobą się błądzi po świecie,
słowo: ruina!

A kiedym szklankę czerwonego wina
wznosił do ust,
by przecież zapomnieć na chwilę o tobie,
tyś wpierw dotykał ustami swojemi
brzegu mej czary,
aby trucizną mi było
wino czerwone,
i zamiast pijaną darzyć mnie siłą,
miast rzucać tęczowe mary
na świat —
szarą mgłą kryło me oczy.

I każdy kwiat
zerwany,
aby mnie poił woniami,
tyś miał w swej ręce
i zatruł wpierw swym oddechem;
i każde usta dziewczęce,
które kusiły mnie śmiechem,
tyś pierwszy, przedemną, całował,
abym ja na nich czuł twą gorycz jeno,
czuł — i żałował,
że mnie skusiły na chwilę
pachnące usta dziewczęce...

W oliwnych gajach błądziłeś wraz ze mną

i wśród cyprysów stałeś przy mnie blizko
i rzymskiej sławy deptałeś zwalisko
wraz ze mną...
a w noce bezsenne
na łóżku mojem
siadałeś czujny,
bym świt wstający każdego poranku
i każde słońce promienne
widział twojemi oczyma...

Alpy śnieżyste i białe,
gdzie wieczna sępi się zima
przeszliśmy razem —
i oto tutaj nad tą jasną wodą
szwajcarskich jezior,
które widziały moją pierwszą, młodą,
bujną szczęśliwość,
jesteś znów przy mnie
i patrzysz cichy w błękitną toń
wraz ze mną —
i zwolna, zwolna przesuwasz
po czole mojem chłodną swoją dłoń,
ty — coś mi został jedynie,
mój bracie,
i będziesz przy mnie, kiedy wszystko minie,

po szczęścia i bólu utracie
ty wierny,
smutku mój, mój bracie —
smutku...!

Zurych.

NARCYZY.

Na stole moim
w zielonym dzbanku glinianym
mrą te przedwczoraj zerwane narcyzy
i pachną...

Białe,
do księżycowych snów podobne płatki
więdną i tulą się wokół gwiaździstych,
płomienno-złotych serc więdnących kwiatów...

Takie jest białe ciało twoje młode,
takie są złote drogie włosy twoje...
i taka wonna jesteś cała...

Pachną,
mdleją od woni te białe,
te mrące kwiaty w glinianym
dzbanie na moim stole...
W mem sercu
płaczą dziwne wspomnienia...

Oddycham wonią,
myślę, czuję wonią upojną
tych mrących kwiatów...
i sen,
jakiś przedwczoraj zerwany,
biały, pachnący sen więdnących kwiatów
cicho na oczy mi spada,
jak narcyzowe lekkie, chłodne listki
dobrą ręką rzucane...

Jutro te kwiaty zwiędną i zielony
dzban polewany na tym moim stole
będzie znów próżny...
A dziś —
takie są białe ich płatki i miękkie,
jak ciało twoje,
takie są złote ich serca,
jak twoje włosy najdroższe —
i pachną,
jak usta twoje, co całują cicho
i upajają bez miary, bez miary —
snem, co od śmierci nie jest mniej rozkoszny! —

Pachną w tym dzbanie więdnące narcyzy,
coraz to silniej pachną, coraz mocniej

przedwczoraj zerwane narcyzy —
i mrą...

W woni
kwiecia, czy wspomnień moich, w sercu mrących,
zasypiam cicho...

A takie białe jest twe ciało młode,
takie są złote twoje włosy,
a usta twoje tak pachną...

Monachjum.

LIŚĆ BLUSZCZOWY.

Miałem jeden liść zielony,
drogi mi nad życie;
rzuciłem go w morze,
kiedym w obce jechał strony:
płyńże, liściu ulubiony,
płyń-że, płyń!...

Miałem jeden liść zielony
z grobowego bluszczu,
(od ciebie go miałem!)
ciemny, lśniący liść!...
Z matki-ś grobu go zerwała,
kiedyś ze mną przysięgała,
gdy zawołam, iść! —
W dłoń ujęłaś moją dłoń
i na czarnej grobu płycie
położyłaś dłonie obie
złączone:
Twojam jest na całe życie!
— słyszy matka w grobie!...

Bluszcz tam rośnie na mogile
cienistej,
lśnią się listki zielone,
stroją cichy grób;
a ten jeden liść, zerwany
na nasz wieczny ślub,
liść mój drogi, ukochany,
płynie gdzieś za światy...

Hej! rzuciłem go na morze,
na morze błękitne,
na to samo wielkie morze,
co łódź naszą kołysało
w jasnym szczęścia dniu, —
które nieść nas razem miało
w nowe światy, w nowe zorze,
to szumiące, wielkie morze —
w kraj szczęśliwy i promienny,
na miłości dnie urocze,
na sny ciche i czarowne,
na rozkoszne przebudzenia
i na złotą jawę — hej!

Płynie liść po morzu:
śmiej się, serce moje, śmiej! — —

Nie wiem, czy to bajka była,
którą ktoś mi opowiadał,
czy też jaki sen:
Miałem jeden liść zielony
— o, Boże! —
z dalekiego grobu — tam...;
porzuciłem go na morze,
gdym odjeżdżał w obce strony,
gdym odjeżdżał — sam!

Wenecja.

PRZEDZIWNA RÓŻA.

Któż mi to zrobił tę krzywdę?
Któż to postawił tę dziwną różę
w rzniętym wazonie z kryształu
na moim stole,
nakrytym białym obrusem,
przy którym piję codziennie chianti?

Przedziwna róża!
Na smukłej czerwonej łodydze
o liściach bladych, podłużnych i lśniących,
wątłą swą zieleń, pełną modrych żyłek —
pieściwie
do szkła zimnego kryształu tulących:
pod zbytkiem własnej piękności i woni
ciężko się kłoni
ogromny kwiat różowo-złoty
o niewymownej jakiejś barwie ciała
młodej dziewczyny... kobiety...,
co — biała —

zarumieniona z miłosnej pieszczoty,
a jeszcze mdlejąca z tęsknoty,
rozchyla chusty
lubieżnie a razem wstydliwie
i pierś odsłania nie sytą szału —
i ust szukając pragnącemi usty,
śni o straszliwej, zabójczej miłości,
ostatnim dziwie...

Ta złota róża w wazonie z kryształu! — —
Nawpół rozwarta, jak kobiece wargi,
które chcą, by je całować,
podobna do snu o miłości,
co tak zakwitnął na jeden dzień
czarownym kwiatem!

Niewinna, zda się, jak dziecięcy śmiech,
czysta — jak młoda dziewczyna,
a tak kusząca, jak śmierć i grzech,
zwycięzka, chociaż bezbronna
i wonna... tak wonna...

Upaja mocniej od wina
i więdnąc w żarze własnej namiętności,
od własnej mdlejąc rozkoszy,
rozchyla — rozgina

płatki zwarzone ogniem wewnętrznym,
a przecie
na pozór tak świeże, jak rosa,
wśród których w głębi prześwieca
jasnym szkarłatem
— jak krwią nabrzmiała pierś kobieca —
różowa tajemnica kwiatu:
ukryta niby przed światem,
pokazana światu...

Któż to postawił tę dziwną różę
na moim stole,
przy którym spędzam samotne godziny?
Słońce prześwietla jej złocistą głowę
i z łona
błyski dobywa różowe,
a tęcze grają w krysztale,
perły, łzy czy opale,
a w szklance mej grają rubiny,
gra tęcza druga, czerwona
w winie ognistem, jak krew! —

Ta dziwna róża!
Podobna do snu o miłości,
który zakwitnął na jeden dzień!...
Pod własnej woni nadmiarem

pod własnej brzemieniem piękności
słonecznym oblana żarem,
rozkoszą własnych pragnień zwyciężona,
chyli się, mdleje i kona, —
a obok na wątłej łodydze
pączek maleńki, różowy,
ledwo z zielonych wykwita osłonek
jak świt, jak zorza, budzący się dzionek,
i patrzy — i drży...

Grają tęcze w krysztale,
perły, łzy czy opale,
grają w mej szklance rubiny;
z pod powiek przymknionych poglądam
przez długie, długie godziny
na różę i piję
czerwone, ogniste chianti...

Florencja.

OSTATNIE SNY.

Żal mi nie ciebie, ale moich snów,
które zabrałaś ze sobą...

Cóżeś ty była?
Na drodze życia spotkana kobieta
przypadkiem,
piękna jak inne,
jak inne zakochana w sobie;
mogłem cię minąć i powiedzieć: nie ta! —
i dalej iść,
mogłem był usta twoje pocałować,
jak tyle innych ust,
słodkich tak samo, jak twoje, i znów
iść dalej, drogich nie trwoniąc snów
i nie żałować
dnia, który zaszedł już...

A jam cię odział wonią swych najkrwawszych róż,
a ja twe włosy wyzłociłem złotem

najbardziej złotych przedwieczornych zórz
na mojem niebie,
snami-m swojemi owionął cię całą
i snem najbielszym ubielił twe ciało
i usta-m rozpalił
własnych swych pragnień pożogą,
i duszy własnej królewskim przepychem
uposażyłem twą duszę —
a potem,
tak cię zrobiwszy i piękną i drogą,
kochałem ciebie...

Żal mi straconych złotych moich snów,
w którem cię stroił,
bo to sny były ostatnie....

A przecie
ja ci dawałem klejnoty i kwiaty
i sny i pieśni
nawet nie przeto, byś ich była warta,
lecz żem ja był taki bogaty,
żem dać je mógł i chciał!
I wszystkom ci dał,
wszystko, co tylko drogie jest na świecie!
Jak łaski król,
tak cuda marzeń na ciebiem zlał

i ukochania przepełną czarę,
aż byłaś dla mnie przez jeden dzień piękna...

I oto stoję z próżnemi rękoma,
jak nędzarz:
o, gdzież są — mów! —
te moje sny,
w które cię wczora stroiłem, ja — król?

Wzięłaś mą miłość, zabrałaś wiarę
i krew i łzy;
został mi dzisiaj jedynie... ból!

Nie ciebie żal mi, ale moich snów,
bo były ostatnie.

BRZOZY NA FORUM.

W gorącem słońcu, wokoło sadzawki
uśpionej, pośród połamanych kolumn
krwawią się róże, wyrosłe na miejscu,
gdzie niegdyś mieszkały westalki,
wiecznego ognia strażniczki...

Ziele się bujne puszcza na wilgotnej
ziemi, kędy w zamknionej gontynie
płonął znicz, —
który ich młodość pożarł i ognistym
oddechem spalił krasę lic dziewczęcych. —
Niegdyś przed wiekami...

Siadłem na głazie zwalonej świątyni
i przez ruiny łuków tryumfalnych,
między cokoły marmurowe,
z których strącone bogi dawno zeszły,
ponad bruk cichy i porosły trawą
rzymskiego forum
widzę te róże czerwone...

Lśnią się jak krople krwi
zastygłe,
jakoby drobne, ogniste płomyki —
te kwiaty, pono z niespełnionych pragnień,
z daremnych tęsknot dziewic poświęconych
i w kręgu znicza trawiących swe życie
młode —
wyrosłe dzisiaj —
po wiekach.

Lekki powiew zmarszczył wodę
cichej sadzawki...

W gorącem słońcu na ruinach forum,
na światowładnej sławy cmentarzysku
po kwiatach wonnych, po pachnących krzewach
brzęczą złociste pszczoły;
zielone lśnią się wawrzyny
i dęby wieczne —
i palmy chwieją dumne pióropusze
nad zwaliskami...

Zieleń pokryła marmurowe złomy —
nieprzemijająca,
ogród o wiecznie jasnym, świeżym liściu

pełen wawrzynów, agaw, palm i cytryn
dojrzewających w słońcu...

I tylko —
tam — za różami, co się krwawią w miejscu,
gdzie niegdyś mieszkały westalki,
na zboczu wzgórza, na zielonej trawie
w pobliżu wielkiej, zadumanej pinji
stoi brzóz kilka:
przez nagie prętki niebo szafirowe
przegląda...

Nie starczy im słońce upalne, —
pośród zieleni stoją smutne, nagie,
straciwszy liście, —
przeczuły snadź
w dalekim, ojczystym kraju
blizkiej już jesieni przyjście...

O, brzozy! — —
o, moje brzozy...

Rzym.

DZIEŃ BŁĘKITNY

Mam dzień błękitny...
czy wiesz? —
Ty — tam — daleko, słuchając w tej chwili
(może w zadumie?)
szelestu kropel deszczowych,
co z nieba szarego padają
na pociemniałe, mroczne okien szyby,
na drzew bezlistnych zczerniałe gałęzie —
skrzypiące w wiatru jesiennego szumie:
— czy wiesz, że mnie tu dzień błękitem kwitnie,
i że mi jasno jest i jest błękitnie...?

Błękitne niebo i błękitne morze
i miasto całe
złote, różowe i białe,
w błękitnej tonie mgle,
w srebrzystej, jasnej środze
(marzeniom oto luźno puszczam wodze),
błękitne wzgórza i wyspy błękitne,

(o! chciałbym zawsze tak śnić...)
i nawet lekki obłok ten u szczytu
dymiącej góry, —
nawet powietrze, którem pierś oddycha,
ma dziwną słodycz błękitu, —
nawet śpiew kędyś płynący z oddali
błękitnem pasmem zdaje się wić
po fali...

Błękitem pachną nadbrzeżne kwiaty,
przypływ pieszczotą błękitną mnie woła —
(nie wiem — sen? jawa?...)
błękit jest wszędzie,
nademną, podemną, dokoła
otchłań błękitu — wielka — jasna — cicha...

Na falach zatoki kołysze się łódź,
— mam dzień błękitny —
zasnąć i śnić, marzenia snuć,
błękitne — jak świat ten cały...

O! gdybym jeszcze zapomnieć mógł!

O! gdybym jeszcze zapomniał o tem,
że miałem niegdyś dzień
— już dawno! już dawno? —

tak malowany twoich włosów złotem,
jak dzisiaj słońcem!...
O! gdybym jeszcze zapomniał
o moim złotym dniu...

Neapol.

TĘSKNOTA.

Gdziekolwiek zaszedłem,
w którą świata stronę
i w jaki kraj,
na morza błękitne,
na łany zielone,
na szczyty gór, czy w gaj
oliwny,
w miasta marmurów świecące ozdobą
czy na ruiny,
wszędzie szukałem miejsca,
gdziebym razem z tobą
rad być —
i wszędzie chciałem być z tobą...

A wiem, że nigdzie wraz z tobą nie będę...

Tak na alpejskich górach,
na lśniących lodów roztoczy
stojąc sam z swoją tęsknotą,
przymykałem oczy,

by ciebie widzieć,
do snu podobną, ukochaną, złotą...
i moją! — —

I na lagunach,
gdy się leniwa gondola kolebie
i w żarach słońca szmaragd morza blednie,
wśród złotych pałaców
najpiękniejszego szukałem bezwiednie,
i w nim szukałem miejsca
dla ciebie!

W perłami szytym zawoju,
w sukni z złotego brokatu,
w złocistych trzewicach,
w jakimś bajecznym i książęcym stroju,
w kapłańskich jakichś szatach,
sztywnych od drogich kamieni,
ja cię widziałem, podobną do kwiatu,
gdzieś w tajemniczych, tęczowych kaplicach,
pod rzezanemi łukami podcieni —
i deptającą nogami po kwiatach,
i deptającą po krwawym marmurze,
po którym — nie wiem — rozsypano róże?
czy też ze świeżo uciętych głów
pociekła krew? —

I znów
pośród szumiących na ruinach drzew,
gdzie powalona wiekami kolumna
biel marmurową na ziołach rozkłada,
gdzie bluszcz się wije po głazach
z zatartym napisem:
jako ten miraż,
łudzący wieścią o wonnych oazach
w bezwodnej puszczy,
tyś mi się blada
ukazywała, złotym strzelając irysem
w ciemnych krużgankach cezarów
albo westalek spustoszałym ebramie —
i chciałem, byś dumna
szła po zwaliskach
i nad pomarłą sławą wznosząc ramię
śmiała się,
że wszystko w gruz już upadło,
że jasne boginie
z pokaleczonem marmurowem ciałem
w mrocznych zamknięte komnatach
tęsknią za słońcem i za drzew zielenią,
a ty trwasz żywa, zwycięska
i najpiękniejsza —
i choć wszystko minie,
miasta upadną i ludy się zmienią,

to piękność twoja w pieśniach mych trwać będzie
po wieki wieków...

I wszędzie, i wszędzie
jak dziecko śmiesznym snem się bawiłem,
że jesteś wraz ze mną...
O wschodzie,
gdzie las pinjowy w morskiej przegląda się wodzie,
złotym promieniom głąb rozwarłszy ciemną —
a traw puszystych kobierzec
dzwoniąca fala obmywa:
tyś się mym oczom pojawiała — żywa,
i z chłodnej głębi lasu szłaś ku fali
kąpać się w słońcu i morzu,
— piękna i naga
i na tle ciemnych wawrzynów tak biała
i taka słońcem rozzłocona, jasna,
żem oczy ścmione blaskiem twego ciała
(choć był to tylko zwid!)
mrużył i serce przyciskał rękami,
aby nie uszło z piersi...

I znowu,
kiedy pod wieczór płynąłem po morzu:
w złocistych blaskach na powierzchni wód
i w słońca glorji

śnił mi się oczu twoich jasny cud
i dłoń twa biała, drżąca w moich ręku —
jak niegdyś,
że w rozkosznym lęku
wpół nieprzytomnie
głowę schylałem i szeptałem słowa
najczulsze, prosząc, byś razem
patrzyła na tę łunę płomienistą,
wśród której słońce się chowa
w ogromną wodę przeczystą,
w tę złotą wodę,
co kryształową dla dnia jest mogiłą —,
lecz słońce zaszło
a ciebie znowu nie było — — —

A kiedy z rana powstało młode
i ja z skalnego brzegu patrząc na nie,
jak w tęczy idzie nad rozlśnione morze,
na próżno-m ciebie zaś wołał,
to mnie chwyciło takie straszne łkanie,
że jako dziecko
twarzą upadłem na spalone zioła
i usta cisnąc do głazów,
prosiłem swego strasznego obłędu,
by mnie opuścił,
prosiłem duszy swojej, aby już przestała

myśleć o tobie,
tęsknoty swojej najdroższej prosiłem,
by już odeszła odemnie,
lub dumy swojej ostatniej, by przecie
raz zrozumiała, że ja już bez ciebie
wyżyć nie zdołam na świecie
i w świat mnie nie gnała,
gdzie barwy są złote na morzu
i słońce jest w tęczach na niebie,
lecz niema i niema i niema ciebie!

Ale tęsknota ma nie posłuchała,
ani też duma zezwoliła wrócić, —
więc idę dalej na świat i na morze
ponieść cię z sobą nie zdolen ni rzucić, —
przez miasta idę i lasy i skały,
po przez ruiny i przez jezjór tonie,
patrzeć codziennie na wieczorne zorze
których samotny widziałem już tyle —,
na złote gwiazdy i na księżyc biały,
w coraz to innej zachodzący stronie —
i — ptak przelotny, lotem obłąkany —
gdziekolwiek siędę
na krótką chwilę,
tam wszędzie szukam miejsca,
gdziebym razem z tobą

rad być
i wszędzie pragnę być z tobą...

A wiem że nigdzie wraz z tobą nie będę.

Sorrento.

W LAZUROWEJ GROCIE.

Jasną chwilę, złotą chwilę
Bóg mi dał;
w lazurowej cichej grocie
będę spał...

Gdzieś daleko i pozamną
wszystek żal, —
światło bije jak sen modry
z głębi fal...

Niech się łódka rozkołysze,
niech mnie do snu ukolebie,
do słodkiego snu,
— a cóż o to, że tu ciebie
niema? że cię niema tu?

Senne na mnie schodzą cisze,
lazurowy i perłowy
mrok, —
gdzieś dalekie fale słyszę,

tam na pełnem morzu;
fal dalekich ruch kołysze
słodko, jak do snu,
moją wątłą łódź...

I cóż o to, że cię niema tu?

Słońce kędyś tam z błękitu
leje złoty żar, —
pośród modrych fal rozświtu,
w tym niebieskim jasnym chłodzie,
w lazurowym dniu, co w wodzie
zatopiony z głębin lśni —
bladych mar
wieńce krążą ponademną
i całują oczy moje
z dawnych, gorzkich śloz...

O! gdybyś ty była ze mną! —

O! gdybyśmy tak oboje
mogli tutaj być! — —
Twój najdroższy złoty włos
lśniłby tutaj jak promienie
słońca w modre rzucon cienie,
jak świetlana blasku nić, —
błękitby cię odział całą
jak Madonnę jaką białą,

w kawał nieba owiniętą
— w tym perłowym dniu
i przeczystą i przeświętą,
której gwiazdy morza wonne,
zaplątane w włosów złocie,
jasne czoło stroją —,
jak Madonnę,
bóstwo moje, jedną! moją!

O! że ciebie niema tu!...

Gdzieś dalekie fale słyszę,
fal dalekich ruch kołysze
rytmem moją łódź;
w lazurowej, cichej grocie
zaświatowe schodzą głusze
na me czoło,
na me serce i na duszę, —
a w około
dokąd senny poślę wzrok,
w wiecznym chłodzie
po płaczącej pluskiem wodzie
mży błękitny i perłowy
mrok...

Capri.

NAPIS NA URNĘ.

Z zmarłego miasta jestem,
które przeto,
iż się zbyt blizko zbudowało góry
zionącej ogniem,
w zastygłych żużlach zginęło i w zgliszczach.

Oto po wiekach miasto odkopano
i znów na słońce z popiołu dobyto:
co było niegdyś pięknością i zbytkiem,
dzisiaj jest trupem,
marnym wskrzeszonym upiorem —
za karę, iż śmiano
to odgrzebywać, co w ogniu zginęło.

Jaszczurka winie się po mej krawędzi:
oto jedyny mieszkaniec
domów i świątyń, na urągowisko
dawnemu życiu —
ten jadowity, chytry gad...

A w wnętrzu mojem marna garść popiołu,
który był ogniem
— niegdyś. —

Pompei.

DAŁEM CI ŻYCIE...

Dałem ci życie swoje, dałem krew,
dałem snów moich bujny siew,
co gorzkim okwita kwiatem
starganych pieśni,
i więcej:
duszę ci dałem!
Byłaś dla mnie światem
i słońcem i szczęściem całem,
tchnieniem mych piersi, światłem mej źrenicy,
śmiercią i życiem —
i jam cię kochał goręcej,
niźli to można powiedzieć...

I więcej:
nie było zła i nie było grzechu,
któregobym ja nie popełnił dla ciebie;
własnem zmarnował siły
dla twego uśmiechu
i cudze łzy mnie winiły

przed Bogiem na niebie,
łzy przenajczystsze, co w ukryciu płyną
a gorzkie,
któremi ja z oczu wycisnął,
przeto żem kochał ciebie
i tylko ciebie,
ciebie jedyną —!

A chociaż nikt mi nie dał tego bólu,
którym darzyłaś mnie ty tak obficie,
chociaż nie nalał nikt tyle goryczy
do serca mego, które dotąd krzyczy,
jak zwierzę biczem smagane,
ani tak zdeptał me życie,
ni zabrał ułudy,
jak ty:
ja błogosławię ten dzień i godzinę,
kiedym cię zoczył;
grzech błogosławię swój i ból i winę,
żem poznał przez nie twej miłości cudy,
choć wiem, że ginę
i że już niema dla mnie zmiłowania
ani ratunku. —

Ku twoim stopom moja skroń się skłania,
wyzbyta dumy:

jeśli ci powiem kiedy, że nie kocham,
ty nie wierz temu, —
i choć się zaklnę na grób, że nie kocham,
ty nie wierz temu,
i choćbym innej przysiągł, że ją kocham,
nie ciebie,
ty nie wierz temu
i śmiej się tylko tak, jak w onych chwilach,
kiedym wsłuchany w drzew wiosenne szumy,
na ciebie w kwiatach całą i w motylach
patrzył jak w bóstwo,
i kładł pod nogi twe — życie...
prosząc w pokorze,
byś je zdeptać raczyła...

NA JASNYM BRZEGU.

Na skałach stoję — wśród oliwnych gajów,
za mną są Alpy — widzę śnieżne szczyty —,
podemną morze.

Na skałach stoję, spalonych od słońca;
oliwne drzewa, palmy i cyprysy
na tle błękitu, —
nieba bezbrzeżne błękity
i błękit morza bez końca...
jak bezmiar mojej tęsknoty...

Ileż ja krajów już zszedłem i miast —
i rzek i mórz i gór,
przez tyle lat —!
Już zapomniałem prawie, co mnie gna
w ten świat
i za czem tęsknię? —
już nie wiem nawet, po com tutaj przyszedł
i gdzie mam jutro iść — —?

Nad brzegiem morza
zgina się w wietrze smukłej palmy kiść,
czerwone kwiaty
pną się po murach ogrodów—
a tam,
na słońcem złoconej fali,
w oddali, w oddali,
owiane srebrną śreżogą i siną
jakieś okręty
po za widnokrąg chylą się i giną...

O! Boże święty!
po co ja tutaj przyszedłem
i gdzie mam jutro iść? —
Gdzie ja zagrzebię swoją tęsknotę,
gdzie znajdę kraj,
kędy jest pokój i zorze złote
radują oczy,
których już żadna dawna łza nie mroczy?

Już nie wiem nawet, com utracił w świecie
i po czem płaczę? —
jakich żałuję godzin czy złud?
już nie wiem nawet, czego chcę i pragnę
i za czem tęsknię? —
i jaki mógłby jeszcze cud

zbawić me serce;
chciałbym już tylko zapomnieć, że żyję,
nieznać imienia swego, ani kraju,
po którym depce ma noga —
i jak te okręty,
które tam chłonie srebrzysta śreżoga
na fali,
iść na bezkresne i błędne odmęty,
w podróż bez celu i końca,
w nieistniejący jakiś kraj
i zginąć i przepaść w oddali
powietrza, morza i słońca
bez śladu —
nawet dla siebie...

O, Boże! o, Boże mój święty
na jasnem niebie —
Ty daj...

Monte-Carlo.

PONAD WIELKĄ ZIMNĄ RZEKĄ.

Szum mi, szum mi, wielka rzeko,
szum mi, szum, —
echem dum tych, co daleko
po za światy, morza, skały
gdzieś powiały —; echem dum
ty mi, wielka rzeko,
szum...

Hej! przez światy, morza, skały
moje dumy gdzieś powiały,
moje złote kwiaty,
snów tęczowych moich tłum —
i ten jeden sen mój biały —
z wichru płaczem, z wichru śmiechem
powiał kędyś w dal;
echem dum,
snów rozwianych moich echem
ty mi, wielka rzeko, szum...

Błyszczy woda, jako stal,
tak rozlana przed mem okiem
morzem płynnem i szerokiem, —
fala goni,
fala dzwoni,
fala kędyś w bezkres mknie —
a wśród fal
na odbitym nieb błękicie
drży cerkiewnych kopuł złoto,
drżą nadbrzeżnych drzew zielenie
i pielgrzymów barwny tłum —
i tak wszystko mknie i żenie —
i tak mknie,
jak to moje dziwne życie —

Szum mi, rzeko, szum mi, rzeko, szum...

Niespełnionych snów tęsknotą,
którym przeszła już godzina,
echem dum tych, co daleko
gdzieś powiały —, echem dum
ty mi, wielka rzeko sina,
ty mi, zimna rzeko,
szum...

Kijów.

DANO MI RÓŻE...

Dano mi róże...

Nie! nie od ciebie! — to nie tyś mi dała
ten krwawy snop,
mrący w upojnym zapachu przedemną
w tę parną noc,
przed chwilą jeszcze jasną i szaloną,
od wina złotą, od kwiatów czerwoną,
rozśmianą od dziew,
a teraz taką ciemną
i cichą,
gdym został sam...

I tylko — i tylko te róże
czerwone jak krew...

Jakże dziękować mam
tym dłoniom hojnym,
które rzuciły na me serce kwiaty,

mrące w zapachu upojnym —?
Za dar tak bogaty,
wonny — pozgonny dar
jakże mam dziękować?

Nie! nie od ciebie! — to nie tyś mi dała
te krwawe róże!
choć mają dziwny zapach twego ciała
i ust twych zgubny czar,
że kiedy oczy zmrużę,
to chciałbym je całować,
i zębem w strzępy drzeć,
i czuć ich chłód
i czuć ich słodką, przedśmiertną pieszczotę...

Chylę rozognioną twarz
i czuję, jak pachną i mrą —
te krwawe, te złote,
te moje róże...
w szaloną dane mi noc
nie wiem przez kogo...

Ty jedna taką pieszczotę znasz,
ty jedna...
i w tobie tylko jest taka moc
uwodzicielska...

Przez ileż przeszedł rąk
i ilu już
dotykał ust
ten krwawych róż
przewonny pąk,
nim przyszedł na mem sercu mrzeć
w samotnej ciszy —
w tę dziwną noc,
co jeszcze echem jakichś szałów dyszy
a jest taka ciemna
i cicha?

Wziąłem je w ręcę:
czuję jak drżą nakryte dłonią
w jakiejś przedziwnej i rozkosznej męce —
te krwawe róże,
tętniące wonią
jak gdyby serca ptaszęce
świeżo wyrwane z łon
i mrące...

O! taki niegdyś tobie wyśniłem zgon!
Jako te róże pachnące
chciałem, byś zgasła w boskiej niepamięci,
w obłędnym szczęścia dniu,
w chwili najwyższej rozkoszy,

gdy się już na nic nie czeka,
żadnego nie chce spełnić snu,
bo wszystko już
— i więcej niźli śnić mógł sen —
dała nam jawa...

O! wonna, mrąca wiązko kwiatów krwawa,
o, cudna śmierci róż
w poranny świt
po obłąkanej nocy...!

Nie! nie od ciebie! — to nie tyś mi dała
ten snopek róż,
co mają dziwny zapach twego ciała
i barwę twojej krwi...
i mrą — tak wonne...

Zapóźno!
— nasz najpiękniejszy dzień przeminął już...
i my żyjemy,
choć dzwony dzwonią pozgonne...

Warszawa.

KWIAT NA SZCZYCIE.

W słońcu się pławię —
na szczycie — wysoko...
Cisza...
Jak tylko sięgnie ludzkie oko,
nic — jeno szczyty
i niebo wielkie, kryształowe —
a z niego słońce, jako kwiat rozwity,
kwiat czarodziejski
dnia —
ognistą łaskę zlewa na mą głowę...

Dzień mi świat zakrył, mój dzień wyzwolenia.
Z za czarnych turni, z poza szczytów cienia,
za dolinami,
kędy lśnią stawy, jakby oka pawie —
tam w dole —
tam w dali
świat mi majaczy zasnuty śreżogą
złotą —

nierzeczywistą prawie,
jakiś świat z bajki, jakieś senne pole,
ledwo widziane w tej złocistej fali
słońca...

O, dniu mój jasny!

Nawet te kaskady
porozwieszane, jakby srebrna przędza
po skalnych stokach —
stąd się wydają nikłe i nie płaczą
ani nie mącą mojej wielkiej ciszy,
co zeszła na serce moje
i którą serce me słyszy
w tym jasnym,
w tym świętym dniu...

A tam doliną
zielone lasy falują i płyną,
a tam górami
złociste łąki lśnią się kwiatami,
a tam — gdzie onej przepaści brzeg,
błyszczy do słońca srebrzysty śnieg,
a tam daleką przełęczą
mgła się osnową przewija pajęczą
i na błękitny opada staw

i płynie na ten wyśniony
z złocistej bajki świat...

Wiszę w otchłani powietrza...
Podemną głazy
i drobne kępki traw...
i jeden tylko kwiat...
blady. —

Niezapominajka tu rośnie pod szczytem
w małej szczelinie kamienia,
gdzie głaz ten szary
ponad przepaścią,
zdala od nizin bagnistych,
po których zwykle ten chwast się rozplenia,
zły chwast pamięci,
co w grzązkie moczary
okiem z błękitu wabi i nęci...

Zrywam kwiat drobny, który aż do szczytu
przyszedł tu za mną,
i rzucam w otchłań...

O, dniu mój jasny!

Wiatr ją wziął — niesie...

Tam — o kilka piędzi
niżej, niż sięgnie dłoń,
zwisła na skalnej krawędzi
pomiędzy ziemią a niebem szerokiem
i jeszcze jasnem okiem z błękitu,
zwodniczem okiem
pogląda ku mnie
z ponad przepaści...
i swoim widokiem
cały kryje mi świat,
ten jeden blady —
ten już zerwany
kwiat...

WE MGLE.

Po jasnych upalnych dniach,
po krwawej burzy
świat cały utonął w mgłach
i spokój jest jak śmierć głęboki...

Jak sen
minęły góry
i turnie i skalne opoki,
lasów pokrytych ciężką oponą
nie trąca żaden wiew;
starte są nieba lazury
i chmury,
zginęły hale,
w białym tumanie toną
stawów opale
i ogród limbowych drzew,
kędy wśród głazów
przewonne kwitną kwiaty —,
przepadły wody, przepadły światy

i niema nic
prócz mgły...

O, ciesz się, duszo moja!

Tamtędy
— tą niewidną drogą —
na ten najwyższy wchodziło się szczyt,
nad którym słońce staje w południe,
a tutaj —
w różowy ranny świt
wiodła ścieżyna
po przez manowce
na dziwną, dziwną łąkę,
co się wśród złomisk czarnych rozpina
i karmi owce
białe
przewonnych kwiatów snopami...

O, ciesz się, duszo moja! —
przepadły łąki, przepadły skały
i niema nic —
prócz mgły,
która po upalnych dniach,
po ciemnej burzy
świat pokryła cały...

Już cię nie zwiedzie ten dumny szczyt,
nad którym słońce staje w południe
śnieg rozlśnić biały —
i żarem wędrowca nuży,
i już nie pójdziesz
w różowy ranny świt
na łąki,
gdzie kwitną kwiatów przewonne pąki,
co mrą,
gdy tylko w dłoń je się ujmie...

Wszystko to było!
A może tylko w jaką parną noc
tak ci się śniło:
te szczyty, łąki i wody,
te nieba złote i świat ten cały,
kuszący, barwny i młody —,
patrz: tuman biały
pokrywa lasy, pokrywa skały
i niema nic,
prócz mgły...

O, ciesz się, duszo moja!
Dokoła
ogromny jest spokój
na ziemi i niebie

(wszak chciałaś takiego spokoju,
co wszystko kryje i wszystko studzi?)
już ciebie
nic nie zachwyca, ani nie woła,
ani nie łudzi, —
w mgłę otulona
i cicha,
jak dziecko u matki łona,
zaśnij i śpij! —

Czegóż ty słuchasz? o, duszo moja!

A! — mówisz do mnie:
Wśród mgły, wśród mgły,
która po burzy spadła na świat —
po jasnych, upalnych dniach,
zgubione potoki gdzieś płaczą! —
Nie widne oku kaskady,
choć tuman mgły je otula blady,
jęczą wśród skał
i białe ręce załamując skaczą
na zwał, —
oto je słyszę:
im głębsze zejdą na świat cisze
i gęstszy obłok mgły,
tym głośniej jęk ich brzmi —,

tym żywsza skarga
potoku, który w więzach się targa
i goni kędyś w świat —
a dokąd — nie wiem sam...

I jakże usnąć mam?!

Kłamstwem jest spokój i ten pozór ciszy;
mgła tylko zasnuła me oczy,
ale tam w głębi,
pod gęstą pokrywą mgły
wieczysta walka się toczy,
potok się dębi,
pieni się i dyszy
wśród skalnych tam
i ziemia drży
i łoskot głuchy grzmi
wśród mgły... wśród mgły...
I jakże usnąć mam?!

O, duszo, duszo moja!

Morskie Oko.

POWRÓT RYCERZA.

Dama z balkonu woła:

Powracasz wreszcie, rycerzu mój!
Stój-że przed moim balkonem, stój!
— dlaczego mijasz swą damę?
Widzę na czole twem krwawą plamę,
na smutnem czole —
i szczerby na jasnej zbroi;
kita, co dumny szyszak twój stroi,
słania się w wietrze
i zdarty płaszcz twój ze złotej lamy
i lico twoje jest bledsze,
niźli bywało —
i oczy patrzą gdzieś w pole...
Czyż tak przystało
rycerzom powracać do damy?

Rycerzu mój!
wszakże zwycięzki stoczyłeś bój?

Dla mnie i w moje imię
miałeś iść w walce,
w krwawej kurzawie i dymie
zdobywać hyr, —
na jasnym mieczu składałeś palce
i przysięgałeś iść w bitew wir
dla krasy mojej i za mą cześć, —
wszakżeś dotrzymał przysięgi?
Ja wiem! chodziła wieść,
że w co najkrwawszych bitwach tyś był —
i chodził zew
żeś się tam bił
jak lew, jak lew!
Szeroko chodził po kraju zew
i wiatry mi zdala lecące mówiły
o wielkich przewagach twej siły,
o czynach twojej potęgi!

A jam cię czekała,
tęsknotą sycąc pożar swego ciała,
jam cię czekała od wiosny do wiosny,
tęsknotą sycąc pożar miłosny...
Przygotowałam ci winne napoje
i usta moje,
przygotowałam przekraśne wstęgi,
by ci ustroić zbroicę stalową

od strony serca, —
czemuż ty teraz z schyloną głową
jak przeniewierca
mijasz swą damę?

W zielone liście
kazałam stroić tę bramę
i kwiaty drogiego kobierca
czekają podków twego rumaka!
A patrz! ja piękna jestem wieczyście,
i czekam pieszczących twych dłoni, —
a patrz! jak głowa moja się kłoni,
jak do złotego podobna ptaka
chce opaść na twoje ramię!
Patrz! niedopięta u piersi mej szata
i widne różowe to znamię,
któreś całował tak rad...
O pójdź! — wstyd mój zasłoni cień nocny,
o pójdź! tchnienie już ze mnie ulata, —
chcę ciebie powitać — zwycięzcę —
w mojej komorze...
Upadł przed tobą świat
i ja upadnę w pokorze,
rada swej klęsce, —
o pójdź! ty mocny!

Rycerz z konia odpowiada:

Dozwól mi, pani, iść,
gdzie oczy poniosą!
Niech raczej więdnie zielony liść,
świeżą lśniący dziś rosą,
którym maiłaś tę bramę
na moje pono przyjęcie...
Patrzę w twe oczy — są takie same,
tak samo drżą ust twych korale,
i czoło — białe, i włosy — złote,
jakom je widział przez swą tęsknotę
w ciągu tych lat,
gdym w burzy i szale,
w bitew zamęcie
z ostrym swym mieczem przebiegał świat
ku twojej chwale...

O! jam ci dotrzymał święcie
danej przysięgi!
W najkrwawszych bitwach jam się tam bił
— co sił, co sił!
i takiej nie było potęgi,
z którą bym ja się nie mierzył
za twoją cześć
i której bym nie podeptał! —

Nie kłamie wieść!
i wiatr, co o mnie ci szeptał!
Jam w twoje imię
w walkach, w kurzawie i w dymie
przestrach i śmierć i zniszczenie szerzył:
w rozlewie krwi dobywał sławy!
I oto powracam dziś — krwawy,
zczerniały pożogą —
witeź mocarny,
lecz wstęgi z rąk twych nie biorę
ani do ust się kwapię;
(zawiózł mnie tutaj — pomimowoli —
rumak mój czarny
znajomą drogą...)

Dozwól mi iść!
serce we mnie jest chore,
serce mnie boli, —
niech raczej więdnie zielony liść,
z którego rosa jakby łzy kapie, —
wieczorna rosa, —
dla mnie są światy, morza, niebiosa,
koń mój i miecz, —
— wszystko, krom ciebie! —
Dozwól iść — precz!

Dama znów mówi:

Widzi Bóg w niebie,
jak jestem twoja, —
i czemuż uciekać chcesz w dal?
Czyś ranny może?
może złamana
na piersi twojej ta lśniąca zbroja
i w piersi rana
i w sercu stal?
Daj! usta złożę
na krwawe rany twej znamię
i moje słodkie ramię
twą szyję drogą otoczy —
Zsypię ci włosy złote na oczy,
złoty włos zsypię na twe powieki,
byś śnił — tę jawę,
że już skończone są trudy krwawe,
że mój już jesteś na wieki!

Ty mój! tak mój!
Dla mnie zwycięski stoczyłeś bój,
dla mnie pod swoje ostrogi,
pod konia podkute nogi
zwaliłeś wrogi —,
w walkach, w kurzawie i dymie,

w bitwy zawierusze
tyś wsławił słodkie me imię,
i wszystko, coś przysiągł na duszę,
spełniłeś — ty mocny!

O, pójdź! — zawiewa chłód nocny
i ja tak drżę cała, —
na sercu twojem ogrzać chcę dłonie,
chłodne mych dłoni powoje, —
na sercu, które tak pała,
jak usta moje — —
jak moje skronie —
czy wiesz?

Czemu nie spieszysz w moje ramiona?
ja słodka jestem, pokorna
i pragnę, chcę ciebie!
Zgasła już zorza wieczorna
i gwiazdy płoną na niebie —
o, pójdź! o, spiesz! —

A rycerz zaś odpowiada:

—
O, pani! o, pani!
dozwól iść precz!
Mnie nie zraniła ręka niczyja,

ni grot, ni miecz;
twe słowo mnie rani,
serce mnie własne zabija!

Niech więdnie raczej zielony liść,
błyszczący rosą,
w który ubrałaś swoje komnaty
na moje pono przyjęcie;
ja muszę iść
za góry, za morza, za światy,
kędy mnie oczy poniosą
i rumak z wichru kurzawą,
— ja muszę! —

Spełniłem święcie
com ci przysięgał na duszę:
rozbrzmiewa świat cały,
twą sławą!
i ziemia pełna twej chwały!
Lecz nie zajadę do twoich bram
(o! wolej mi nieżyć!)
bo chociam cały zwyciężył świat,
nie mogłem siebie pokonać sam,
nie mogłem uwierzyć,
w co innym wierzyć kazałem rad! — — —
Gdym wroga walił na ziemię krwawą

od podków końskich porytą,
pod końskie walił kopyto
za twoją cześć,
gdy miecz mój serca już chwytał,
gdy but mój pierś już miał gnieść,
tom ja się pytał,
w pył
powalonego wroga się pytał
i krwią bijących żył,
czyś ty jest czysta i prawa?

I każdy, ratując żywota,
wysławiał ciebie, o, złota!
i klął się, sławę twą nieść
na światy, na morza,
żeś jest jak słońce, jak zorza,
jak gwiazdą jasna, poranna! —
a jako kryształ — twa cnota!
I nieustanna
brzmi dziś twa sława
po ziemi końce,
na kraje, na morza,
żeś ty jest jak słońce,
żeś jest jak zorza —
a czysta i prawa
i nieskalana;

tak brzmi twoja sława!
mym mieczem, mym mieczem rąbana!

Lecz ja nie wnijdę do twoich bram,
bom się zwyciężyć nie zdołał sam,
bom się na darmo zmagał i bił
i szukał w tętnach rozdartych żył
tej wiary w słowa swe własne,
że serce twoje czyste i jasne!

O, pani! o, pani!
niech raczej więdnie zielony liść,
bo smutek jeno niosę ci w dani!
O! dozwól mi iść,
bo chociaż za twoją cześć
cały-m zwyciężył świat,
niezwyciężony jest jeden twój wróg,
którego nie sięgnął mój miecz, —
na ziemi i niebie
najgorszy wróg:
ja sam!
W mem sercu żywie gad —
i jam go nie zdołał zgnieść,
więc idę z przed twoich bram
na szlaki błędnych dróg —
od ciebie
precz...!

SEN O POWROCIE.

Nie wiem, co to był za sen...

Stojąc na brzegu,
rzucałem krągłe kamienie sine
na srebrne morze,
na morze dziwnie srebrne i błękitne,
gdzieś w tajemniczej dali
w jedno zlane z przedziwnem niebem...

A każdy kamień, biegnąc po fali
— kamieni było siedem —
a każdy kamień siny,
biegnąc po fali —
kaczką się białą stawał i skrzydłami
bił i srebrzystą znaczył w wodzie smugę —,
i szły te kaczki — w srebrze i złocie —
ku przedziwnemu niebu w oddali, —
szły po srebrzystej morskiej fali
ku mej tęsknocie —

i jam je widział wszystkie w odlocie:
było ich siedem...
a wszystkie białe...

A potem wszystkie wracały ku mnie,
lecz już nie ptaki, jeno anieli,
kobiety dziwne w powłóczystej bieli
idące po wierzchu toni
— smutne...
Nie wiem, gdzie były i skąd powracały, —
— było ich siedem —
lecz jednej wśród nich nie było...

FRAGMENT.

Jeszcze się za mną wlecze dzień wczorajszy
i niestrawiony jego ból, choć oczy
już obróciłem na słońce i idę
z tych miejsc, gdzie młodość bujną pochowałem.
I nie wiem, dokąd idę. Wszystko jedno.
Jest moc w człowieku jakaś czy fatalność,
która mu powstać każe, choć upadnie,
i iść mu każe, chociaż radby spocząć,
i wierzyć znowu w to wszystko, co wczoraj
złudą się jeno okazało marną,
i chcieć znów tego, czego mu sto razy
życie już pragnąć zakazało. — Zresztą —
jedyną prawdą to jest, w co człek wierzy,
rzeczywistością jedyną to zasię,
co mu tęsknota jego pokazuje.
Niema nic nadto. Niepoprawny rycerz,
Donkiszot, ledwo kości potłuczone
bezwiednem skrzydłem wiatraka czy pałką
owczarzy, zleczy, już wyjeżdża w złotym

hełmie Mambryna na wyprawę nową,
tam na południe w stronę Saragossy,
kędy krzyżowy pono lud się zbiera,
by o świętoście walczyć z niewiernymi...
I niepoprawny rycerz zawsze wierzy,
iż nie dla siebie sławy chce dobywać,
lecz dla imienia najczystszej i pięknej,
którą ucieszy ten wawrzynu listek,
jakgdyby nie był mniej warty od róży! —
A kiedy padnie pod murami grodu,
co nie otworzył swoich bram dla niego,
to jeszcze widzi we wrogu niegodnym
Rycerza Tarczy miesięcznej i woła
ostatkiem głosu, z konia już zwalony:
Pochwyć, rycerzu, dzidę swą i dobij,
by słabość moja snadź nie zaprzeczyła
tej wielkiej prawdzie, że najszlachetniejsza
jest Dulcyneja z Tobozo wśród niewiast
wszystkich na ziemi...!

Wilno.

BLADA FOTOGRAFJA.

Mam fotografję, która z dnia na dzień
blednie i ginie...

Nad jasnem, czystem czołem
wokoło greckiej przepaski
włos bujny w splotach się winie,
oczy gdzieś w śnioną wytężone dal,
oczekujące,
i usta smutne,
jakby tęsknotą całunku nabrzmiałe...

O! jak mi dziwnie, dziwnie żal
tej fotografji mojej,
która z dnia na dzień gaśnie i blednie!

Już czoła zarys w cieniu się topi,
już włos się w marzenie rozwiewa, —
gasną już oczy, szukające w dali
jakiejś wyśnionej zjawy,

i jeszcze tylko usta nietknięte
drżą jako dawniej —
wpół rozchylone i żywe
i ciągle żądzą pocałunku wzdęte...

Nie wiem, czy słońce tak ją spłowiło
tych różnych nieb,
kędym się błąkał z nią razem,
czy oczy moje
tak często przez długie, długie godziny
z za łez
tym bladym przykute obrazem,
wyżarły rysy,
w szczęśliwym dawnym dniu
światłem na karcie dla mnie nakreślone...?

Niknie jak sen —
tak cicho, nieznacznie, tajemnie, —
i co dzień dalej odchodzi odemnie
w nieznaną jakąś głąb,
i codzień bardziej gaśnie źrenicy,
która już prawie na pamięć kreśli
na zbladłej karcie
tak dobrze znane rysy:
to jasne, czyste czoło
i bujne włosy, co się wokoło

greckiej królewskiej przepaski winą —
i oczy w dal gdzieś zapatrzone siną
i usta wzdęte żądzą całunku...

Jeszcze dni kilka — lat kilka może —
i bez ratunku
karta już biała zostanie.
I długo jeszcze uparcie
chciwa źrenica
będzie rysować
na próżnej karcie
ten znany profil:
to jasne, czyste czoło
i usta smutne, chcące całować, —
i długo jeszcze cieszyć się będzie
ostatnim śladem,
jak sen niepewnym, jak wspomnienie bladem, —
aż wreszcie przyjdzie dzień,
że próżno pamięć wytężona
silić się będzie
odlatujący jeszcze przyzwać cień,
odtworzyć jeszcze raz lica
niegdyś tak dobrze znane
z rozwianych wspomnień i snów. —

Patrzę na moją drogą fotografję

i widzę jak mrze i kona
i niknie i blednie
na białej karcie i w sercu —
i łza mi spływa bezwiednie
po smutnem licu...
paląca łza...

W CIENIU RUIN.

Życie chodzi po ogrodach
w wieńcu z róż,
ale w cieniu ruin smutek
przysiadł już...

W południowej żar godzinie
roztopiony z nieba płynie,
aż w słonecznym pocałunku
omdlewają kwiaty,
lecz tam obok żywych wód —
po fontanny srebrnych włosach,
po zakrzepłych w cieniu rosach
w mroczne sklepy i komnaty
pełznie wilgły chłód...

Pod kolumną gdzieś przysiada,
po ruinach gdzieś się wlecze,
w wawrzynowy wpełza gaj —
i jak żbik — tak nagle spada

na rozśmiane serce człecze,
które prawie jeszcze wierzy,
że to wiosna, że to maj...

W złotem winie się przyczaja
ten jesienny smutek
i wraz z winem w żyły wsącza
nieuchwytny żal
za tem wszystkiem, co przepadło,
co przygasło już i zbladło,
co gonitwa czasu rącza
w niepowrotną zwiała dal, —
za wiosennych róż woniami,
za młodemi uciechami
i dawnemi w oczach łzami,
którym wysechł zdrój, —
skroń się ciężko chyli blada
i jak kwiat ten z drzew — tak spada
i na serce i na duszę
zgasłych wspomnień rój...

Życie chodzi po ogrodach
w wieńcu późnych róż, —
ale w cieniu ruin smutek
czuwa już...

Rzym.

ŚNIĄ MI SIĘ JESZCZE...

Śnią mi się jeszcze pocałunki twoje,
tak mi się śnią...

Przeszło już wszystko...

Wiatr jakiś przypadł i rozwalił
ten pałac z ognia, który-m ja na chmurach
stawiał dla ciebie,
wiatr jakiś przypadł i zerwał te kwiaty
z drzew rozkwitnionych
i pognał gdzieś w świat, gdzieś w świat...
i przeszła miłość moja — ta największa,
bo już ostatnia, —
i przeszła młodość moja — najpiękniejsza,
bo już ostatnia.

Wiem, że cię nigdy już nie zobaczę,
a gdybym zoczył, to mi będziesz taka,
jak byłaś dawniej,

a choćbyś była nawet taka sama,
to ja nie będę mógł ująć twych dłoni
tak, jako dawniej,
a choćbym mógł — nie zechcę,
a choćbym zechciał ja, to ty nie zechcesz...

(A choćbyśmy nawet zechcieli oboje
w nierozumnym porywie wskrzesić to, co zmarło,—
to już to nie będzie to samo...)

Przeszło już wszystko — i tylko w te noce,
w te duszne noce samotnika,
gdy zasnąć nie mogę,
choć piłem wino złote lub czerwone, —
kiedy zamknięte na siedm spustów serce
tak krzyczy w piersi z bólu i przestrachu,
jak małe dziecko, które w dzień słoneczny
w ciemnym lochu zamknięto:
jeno w te noce obłędne, pijane —
śnią mi się jeszcze pocałunki twoje,
tak mi się śnią...

WIERSZ OSTATNI.

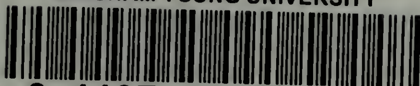
Kiedym pieśń pierwszą dla ciebie układał,
tom się przysięgał: na krzyż ni puginał
ni będę prosił, błagał ni zaklinał,
nie będę skarżył się nawet ni biadał...

A oto dzisiaj od twych stóp odchodzę,
i wiela pieśni zostawiam przy tobie,
we łzach pisanych, w bólu i w żałobie,
jakby snop kwiecia — rzuconych — po drodze...

(Dałeś mi szczęście i ból dałeś, Boże,
dałeś mi kwiaty, które w dłoniach więdną,
i drogę moją, samotną i błędną,
która do nikąd zawieść mnie nie może...!)

Więc idę drogą swoją znów, jak dawniej,
jeno że radość życia gdzieś została
za mną, baśń złota, tęczowa i biała;
coraz to jaśniej widzę, coraz jawniej...

Lecz cóż ci o to? — Nie skryję się w grobie,
ani też pójdę polec gdzieś na wojnie,
będę żył dalej, jak dotąd — spokojnie, —
— a że wciąż tęsknię za tobą — cóż tobie!


BRIGHAM YOUNG UNIVERSITY
3 1197 23143 0411